

Conan i Dolina Grozy

Robert Howard



calibre 0.9.27

ROBERT E. HOWARD

DOLINA GROZY

(Tłumaczył: Piotr W. Cholewa)

O AUTORZE

Robert Ervin Howard (1906-1936) jest jednym z twórców stylu zwanego *sword-and-sorcery* (miecz i magia). Zaczął pisać, gdy miał piętnaście lat. Jego pierwsze opowiadanie *Spear and Fang* ukazało się w magazynie „Weird Tales” w 1925 r. Jakkolwiek najbardziej znany ze swej twórczości fantasy, napisał również wiele opowiadań detektywistycznych, historycznych, westernowych czy po prostu przygodowych. Tematy swoich książek czerpał z przebogatej wyobraźni, a także z dokładnej znajomości historii, zwłaszcza historii ludów celtyckich. Leżało w jego możliwościach stanie się pisarzem wielkim, żył jednak zbyt krótko, by mógł zająć niezbędną do tego proces uszlachetnienia jego prozy. Na życiu Howarda zaciążyła fatalna skaza - jego ojciec, lekarz w małym miasteczku w Teksasie, pochłonięty pracą, nazbyt często pozostawiał go samego, tylko w towarzystwie matki. W efekcie wytworzyła się pomiędzy tym dwojgiem więź tak silna, że Howard uznał za naturalne, iż jej śmierć wymaga, by i on odebrał sobie życie. Tak też uczynił.

Howard Phillips Lovecraft pisał we wspomnieniu pośmiertnym, że był Howard *autentycznym artystą, który jako niemalże jedyny potrafił z upiornego laku i strasznej niepewności wydobyć prawdziwe emocje*. Trudno temu zaprzeczyć. Cokolwiek R. E. Howard pisał, nosiło znamię jego osobowości - wrażliwej, szczerzej, obdarzonej niezwykle wyobraźnią, a bohaterowie jego opowiadań - Kuli z Atlantydy, Conan Cymerianin, Solomon Kane, marynarz Steve Costigan, Bran Mak Morn - byli odbiciem samego Howarda, jego autoportretem stworzonym w intymnej domenie własnych fantazji.

Różna była jakość jego utworów. Uważał się za spokrewnionego z dawnymi wędrowcami, opowiadającymi bohaterskie sagi, zanim jeszcze nadszedł czas słowa pisanego.

Passa pisarzy pracujących dla tzw. pulp-magazines trwała krótko. Przeminięli i zostali zapomniani. Wyjątki są niezwykle rzadkie. Jednym z nich jest H. P. Lovecraft; R. E. Howard - choć od pierwszego bardzo odległy - następnym. Oddana grupa wielbicieli i naśladowców sprawia, że nazwiska ich są wciąż żywe, a to jest największym holdem dla sztuki kreacji, który charakteryzował ich obu.

Najlepsze opowiadania Howarda wydane zostały w pamiątkowym zbiorze *Skull-Face and Others*. Inne także doczekały się wielu wydań, a losy najpopularniejszych howardowskich bohaterów opisywało później wielu autorów, z których wymienię tylko L. Sprague de Campa czy Lina Cartera.

Piotr W. Cholewa

DOLINA GROZY

Posłuchajcie historii o Njordzie i Potworze. Wiele jest wersji tej opowieści. Bohater

nazywa się Tyr, Perseusz, Zygfyrd, Beowulf lub Światy Jerzy. Lecz to właśnie Njord spotkał się z wypełzającym z piekielnych otchłani ohydny, szatańskim stworem. To spotkanie dało początek całej serii bohaterskich legend, powtarzanych tak długo, aż zatraciły ziarno prawdy, trafiając do lamusa zapomnianych baśni. Wiem, o czym mówię, gdyż to ja byłem Njordem.

Leżę oczekując śmierci, pełzającej ku mnie jak ślepy ślimak, lecz sny moje pełne są połyskliwych wizji i scen pełnych splendoru. Śnię nie o szarym, zrujnowanym chorobą życiu Jamesa Allisona, lecz o jaśniejących bohaterach wielkich widowisk, które zdarzyły się już i zdarzą się jeszcze. Dostrzegam bowiem, choć niewyraźnie, nie tylko cienie ciągnące z tyłu, ale i te, które dopiero nadejdą - jak maszerujący w długim pochodzie widzi, daleko przed sobą, niknący za odległym wzgórzem rząd wyprzedzających go postaci, niby zjawy rysujących się na tle nieba. Jestem jednym z nich i wszystkimi naraz w tej paradzie masek, przebrań i kształtów, które były, są i będą widzialnymi przejawami złudnego, niematerialnego, a przecież żywotnie istniejącego ducha, noszącego teraz przelotne, krótkotrwałe imię Jamesa Allisona.

Każdy mężczyzna, każda kobieta na ziemi jest częścią i całością podobnej kawalkady istot i cieni. Lecz nie mogą tego pamiętać - ich umysły nie są w stanie przekroczyć wąskich, strasznych otchłani ciemności, które dzielą te ulotne kształty, a które przemierzając duch, jaźń czy też dusza zrzuca swą cielesną powłokę. Ja pamiętam. Dlaczego jestem do tego zdolny, to historia może najdziwniejsza ze wszystkich; gdy jednak leżę tu, a nade mną z wolna rozpościerają się czarne skrzydła śmierci, przed moimi oczami rozwijają się zamglone obrazy moich poprzednich istnień i widzę siebie w wielu postaciach i formach - bufona, pyszałka, tchórza, kochanka, głupca - każdej, którą ludzie kiedykolwiek przybrali lub przybiorą.

W wielu krajach, w różnych warunkach, byłem Człowiekiem. A jednak - i to także jest dziwne - moja linia reinkarnacji biegnie jednym prostym torem. Nigdy nie byłem kimś nie należącym do tej niespokojnej rasy, którą kiedyś zwano ludem z Nordheimu, potem Ariami, a dziś określa się wieloma nazwami i imionami. Ich historia jest moją historią, od pierwszego kwilenia szczenięcia bezwłosej białej małpy wśród arktycznych pustkowi po śmiertelny krzyk ostatniego, zdegenerowanego potomka najwyższej cywilizacji w jakiejś mglistej nieodgadnionej przyszłości.

Moje imię brzmiało Hjalmar, Tyr, Bragi, Horsa, Eryk i John. Z rękoma ubroczonymi krwią kroczyłem po opustoszałych ulicach Rzymu za jasnogrzywym Brennusem. Z Alarykiem i jego Gotami przemierzałem zniszczone plantacje, a okolica jasna była jak w dzień, rozświetlona ogniami płonących dworów, gdy Imperium wydawało swe ostatnie tchnienie pod naszymi stopami. To ja z mieczem w dłoni brnąłem ze statku Hengista przez spienione fale przyboju, aby wśród gwałtów i morderstw położyć fundamenty Anglii. Kiedy Leif Szczęściarz zobaczył szerokie jasne plaże nieznanego wybrzeża, stałem przy nim na dziobie smoczej łodzi, a wiatr rozwiewał moją złotą brodę. Kiedy Godfyrd de Bouillon prowadził swych krzyżowców na mury Jerozolimy, byłem między nimi w stalowym kasku i pancerzu.

Lecz nie o żadnym z tych wydarzeń chcę mówić. Zabiorę was z sobą w przeszłość, wobec której czasy Brennusa i Rzymu są niby dzień wczorajszy. Powiodę was nie przez wieki i millenia, lecz przez epoki, mgliste eony, których nie domyślają się nawet najbardziej szaleni z

filozofów. Dalej, dalej i dalej musicie zagłębić się w mroczną Przeszłość, by dotrzeć do początków mojej rasy — rasy błękitnookich jasnowłosych wędrowców, zabójców, kochanków, niedoścignionych w grabieży i w podróżach.

Opowiem o Njordzie - Pogromcy Potwora, o pierwowzorze całego cyklu bohaterskich legend, co nie sięgnął jeszcze kresu, o strasznej osnowie realności zatajonej w zniekształconych przez czas mitach o smokach, monstrach i potworach.

Będę mówił nie tylko ustami Njorda. Jestem Jamesem Allisonem w nie mniejszym stopniu, niż byłem Njordem. Rozwijając opowieść interpretowałem będą niektóre jego myśli, marzenia i czyny ustami współczesnego ja, aby saga o nim nie stała się dla was pozbawionym sensu chaosem. Jego krew jest waszą krwią, gdyż jesteście synami tej samej rasy, lecz leżą między wami mgliste otchłanie czasu. Czyny i marzenia Njorda wydałyby się tak obce waszym snom i marzeniom, jak zamieszкана przez lwy dżungla wydaje się obca białym ścianom domów szerokiej miejskiej ulicy.

Dziwny był świat, w którym Njord żył, kochał i walczył tak dawno, że nawet moja pamięć, przekraczając minione epoki, nie jest w stanie rozpoznać punktów charakterystycznych. Nie raz, lecz kilka razy zmieniła się od owych czasów powierzchnia ziemi, wznosiły się i zapadały kontynenty, morza zmieniły swe położenie, a rzeki swe koryta, przybyły i cofnęły się lodowce, gwiazdy i konstelacje zaś poprzesuwały się i przeobraziły.

Działo się to tak dawno temu, że Nordheim był wciąż jeszcze ojczyzną mej rasy. Lecz rozpoczęły się już epickie wędrówki tego ludu i niebieskookie jasnowłose szczepy płynęły na wschód, południe i zachód, a wieki trwające wyprawy wiodły je wokół świata. Pozostawiali swoje ślady i swoje kości w przedziwnych krajach i wśród dzikich pustkowi. I ja wyrosłem z dziecka na męża w czasie takiej wędrówki. Moja wiedza o leżącej gdzieś na północy ojczyźnie składała się ze wspomnień, niewyraźnych jak na pół zapomniane sny, o oślepiająco białych równinach i polach lodowych, o wielkich ogniach płonących w kręgu skórzanych namiotów, o jasnych włosach powiewających na wicherze, o słońcu, zachodzącym za posępną ścianę szkarłatnych chmur, rozpalającym zdeptany śnieg, na którym ciemne, nieruchome kształty leżały w kałużach czerwiejszych niż płomień zachodu.

To ostatnie wspomnienie wyraźniejsze jest od innych. Dotyczy, jak mi powiedziano wiele lat później, pół Jotunheimu, gdzie rozegrała się straszna bitwa, legendarna bitwa Esirów, bitwa, o której pieśni śpiewano *przez* długie wieki i która dziś jeszcze żyje w niewyraźnych wzmiankach o Ragnarok i Goetterdaemmerung. Oglądałem ją jako niemowlę przy piersi, musiałem więc żyć około... nie, nie powiem, gdyż zostałbym uznany za szaleńca, a historycy i geolodzy wspólnie powstałoby, aby spierać się ze mną.

Wspomnienia z Nordheimu nieliczne były jednak i niewyraźne, przyćmione obrazami długiej wędrówki, w której minęło moje życie. Choć nie musieliśmy utrzymywać stałego kierunku, dążyliśmy jednak wciąż na południe. Niejednokrotnie zatrzymywaliśmy się na pewien czas w żyznych górskich dolinach lub na równinach poprzecinanych rzekami, zawsze jednak

wracaliśmy na szlak. Nie tylko z powodu głodu czy suszy. Często porzucaliśmy okolice obfitujące w zwierzynę i dziko rosnące zboża, by ruszyć na pustkowia. W drodze nie znaleźliśmy spoczynku, choć pchały nas tylko nasze niespokojne pragnienia. A przecież stosowaliśmy się do kosmicznych praw, chociaż ich istnienia domyślaliśmy się nie bardziej niż dzikie gęsi podczas swych lotów wokół świata. I tak dotarliśmy wreszcie do Krainy Potwora.

Zacznę swą opowieść w chwili, gdy zbliżyliśmy się do porośniętych dżunglą wzgórz, cuchnących zgnilizną, kipiących množącym się życiem. Wśród gorącej, dusznej nocy bez chwili przerwy wybijały swój rytm tam-tamy dzikusów. Wyszli do nas, próbując zakwestionować nasze prawo przejścia - niscy, mocnej budowy, czarnowłosi, wymalowani, okrutni, lecz bez wątpienia biali ludzie. Od dawna znaleźliśmy ich ród. To byli Piktowie, najbardziej wojownicza ze wszystkich obcych ras. Spotykaliśmy kiedyś ich plemiona w gęstych lasach i dolinach wokół górskich jezior, lecz wiele miesięcy upłynęło od ostatniego z tych spotkań.

Ten szczep stanowił, jak sądzę, najdalej na wschód wysuniętą gałąź

swjej rasy. Był najbardziej prymitywny i najdzikszy ze wszystkich, jakie spotkałem. Wykazywał już pewne cechy typowe dla czarnych dzikusów z obszarów porośniętych dżunglą, choć w tym środowisku żył od kilku zaledwie pokoleń. Tych ludzi pochłaniała nieskończona dżungla, zacierając ich dawne cechy i dopasowując do własnego, straszego wzorca. Prostą drogą zmierzali do polowania na ludzkie głowy, a od kanibalizmu dzielił ich tylko krok, który, jak sądzę, zdążyli zrobić, niań wyginęli. Takie sprawy są naturalnym uzupełnieniem życia w dziczy. Piktowie nie uczyli się od czarnych ludów, gdyż żadni czarni nie żyli w owym czasie na wzgórzach. W późniejszym okresie napłynęli z południa, a Piktowie ujarzmili ich najpierw, a później zostali przez nich wchłonięci. Moja saga o Njordzie nie dotyczy jednak tej historii.

Wkroczyliśmy w ten straszny pagórkowaty region, krzyczący otchłaniami barbarzyństwa i ciemnego prymitywizmu. Nasze plemię szło pieszo - starcy o wychudzonych kończynach, podobni do wilków z długimi brodami, potężni wojownicy w kwiecie wieku, nagie dzieci, biegające wzdłuż kolumny, jasnowłose, rozczochrane kobiety, niosące niemowlęta, które nigdy nie płakały - chyba że z wściekłości. Nie pamiętam, ilu 'nas było. Tyle tylko, że mieliśmy około pięciuset walczących - a przez walczących rozumiem wszystkich mężczyzn, od dzieci wystarczająco silnych, by unieść luk, po najstarszych ze starców. W tych strasznych, okrutnych czasach wojownikiem był każdy. Nasze kobiety, przyparte do muru, biły się jak tygrysy; widziałem też dziecko, które odwróciło głowę, i zatopiło zęby w stopie, co zdeptała je na śmierć.

Tak, byliśmy wojownikami! Pozwólcie, że opowiem o Njordzie. Jestem z niego dumny, zwłaszcza gdy widzę nędzne, sparaliżowane ciało Jamesa Allisona, moją chwilową powłokę. Njord był wysoki, o szerokich ramionach, silnych rękach i mocnych nogach. Długie, potężne mięśnie znamionowały nie tylko siłę, ale także szybkość i wytrzymałość. Bez zmęczenia potrafił biec przez cały dzień. Oszalająca szybkość ruchów zmieniała go w rozmazaną plamę. Gdybym powiedział wam o jego sile, nazwalibyście mnie kłamcą. Nie ma dziś na ziemi człowieka dość silnego, by potrafił napiąć luk, którym Njord posługiwał się z łatwością. Rekord w strzelaniu z łuku należy do pewnego tureckiego łucznika, który posłał strzałę na odległość

482 jardów. W moim plemienu nie było wyrostka, który nie umiałby poprawić tego wyniku.

Gdy wkroczyliśmy do dżungli, usłyszeliśmy tam-tamy bijące w tajemniczych dolinach drzemiących między wzgórzami. Na szerokim, otwartym płaskowyżu spotkaliśmy naszych przeciwników. Niemożliwe, by ci Piktowie nas znali, choćby z legend. Bo nie rzuciliby się tak otwarcie do ataku, mimo że przewyższali nas liczbą. Nie próbowali żadnej zasadki. Zeskakiwali z drzew, tańczyli, śpiewali pieśni wojenne, wykrzykiwali barbarzyńskie groźby. Nasze głowy zawisną u stóp ich bożka, nasze jasnowłose kobiety będą rodzić ich synów. Ho! ho! ho! Na Ymira! to Njord się roześmiał, nie James Allison. Tak właśnie, słysząc te pogroźki, śmialiśmy się my, Esirowie - głębokim śmiechem, grzmiącym z szerokich, potężnych piersi Krew i ogień znaczyły nasz szlak, byliśmy zabójcami, łupieżcami, z mieczem w dłoni kroczącymi przez świat. Groźby tego ludu obudziły nasze rubaszne poczucie humoru.

Ruszyliśmy im na spotkanie, nadzy pod wilczymi skórami, wywijając mieczami z brązu. Nasz śpiew niby grzmot przetaczał się przez płaskowyż. Piktowie wystrzelili ku nam swe strzały, a my odpowiedzieliśmy tym samym. Pod względem celności nie mogli się z nami równać. Ze świstem spadały na nich chmury naszych strzał, a oni padali niby jesienne liście. Wreszcie z wyciem, z pianą jak u wściekłych psów na ustach rzucili się do walki wręcz. I my, pijani bitewnym zapalem, porzuciliśmy luki i pognaliśmy ku nim, jak kochankowie biegnący na spotkanie swych miłości.

Na Ymira! ta bitwa doprowadzić mogła do szaleństwa, upoić furją i rozlewem krwi. Piktowie byli równie jak my waleczni, lecz górowaliśmy nad nimi budową ciała, bardziej wyostrzonymi zmysłami, większymi zdolnościami taktycznymi. Zwyciężyliśmy, gdyż byliśmy rasą wyżej rozwiniętą, lecz nie było to łatwe zwycięstwo. Ciała zabitych zasłały przesiąkniętą krwią ziemię, nim w końcu załamali się, a my wycinaliśmy ich uciekających aż do samego skraju lasu.

Opisałem tę bitwę w kilku suchych słowach. Nie jestem w stanie odmalować tego szaleństwa, zapachu krwi i potu, ciężkich oddechów, napięcia mięśni, trzasku kości pękających pod potężnymi ciosami, szarpania i rąbania wrażliwego, drżącego ciała, a nade wszystko bezlitosnego, niezglębionego okrucieństwa całej tej sceny, w której nie było reguł ani porządku, a każdy walczył, jak chciał i potrafił. Gdybym umiał opisać to wszystko, zadrzelibyście ze zgrozy. Nawet współczesny ja, choć świadom bliskiego z tym okresem pokrewieństwa, zamieram przerażony na wspomnienie tej jatki. Litość jeszcze się wtedy nie narodziła, chyba że w formie indywidualnych odruchów. O regułach walki nikt nawet nie śnił. W tej epoce człowiek od dnia narodzin do śmierci walczył zębami i pazurami i ani nie okazywał, ani nie oczekiwał łaski.

Tak więc wybijaliśmy uciekających Piktów, a nasze kobiety wyszły na pole bitwy, by kamieniami rozbijać głowy rannych nieprzyjaciół lub miedzianymi nożami podcinać im gardła. Nie uznawaliśmy tortur. Nie byliśmy bardziej okrutni, niż wymagało tego życie. Jego prawa były bezlitosne, lecz dziś więcej jest bezsensownego okrucieństwa, niż wtedy mogliśmy sobie wyobrazić. Nie z niczym nie usprawiedliwionej żądzy krwi mordowaliśmy rannych i jeńców. Wiedzieliśmy po prostu, że nasze szansę przeżycia wzrastają z każdym zabitym wrogiem.

Trafiały się jednak pojedyncze akty litości. Tak też było w tej bitwie. Zajęty byłem walką ze szczególnie mężnym przeciwnikiem. Splątana strzecha jego czarnych włosów ledwie sięgała mojego podbródka, mimo to był zespołem stalowych mięśni i chyba nawet błyskawica niewiele tylko była od niego szybsza. Miał żelazny miecz i pawęż okrytą skórą. Ja miałem sękatą maczugę. Bój ten nasycił nawet moją łaknącą walki duszę. Krwawiłem z kilku ran, nim w końcu jeden ze strasznych zamachowych ciosów rozdarł jego tarczę niby kawałek tektury, a w chwilę później moja maczuga zetknęła się z jego niczym nie chronioną głową. Ymirze! Nawet teraz przestaję się śmiać i stoję zdumiony twardością czaszki tego Pikta. Po takim ciosie mózg powinien rozbryznąć się jak woda. Na głowie Pikta otworzyła się straszliwa rana, a on sam runął bez zmysłów na ziemię. Zostawiłem go, przekonany, że nie żyje, i przyłączyłem się do mordowania uciekających wojowników.

Kiedy cuchnący potem i krwią, z poplamioną mózgiem i skrzepłą krwią maczugą wróciłem na pole bitwy, zauważyłem, że mój przeciwnik odzyskuje przytomność, a naga rozczochna dziewczyna szykuje się do zadania mu ostatecznego ciosu kamieniem, który z ledwością zdołała unieść. Przelotny kaprys skłonił mnie do powstrzymania uderzenia. Walka sprawiła mi radość i podziwiałem twardą konstrukcję czaszki mojego przeciwnika.

Rozbiliśmy obóz w pobliżu. Na wielkim stosie spaliliśmy naszych poległych, a ograbione ciała nieprzyjaciół zrzuciliśmy z płaskowyżu w dolinę, na ucztę gromadzącym się już hienom, szakalom i sępom. Tej nocy wystawiliśmy czujne warty, lecz nikt nas nie zaatakował. W głębi dżungli dostrzegaliśmy jednak czerwone błyski ogni, a gdy wiatr się zmieniał, słyszeliśmy uderzenia tam-tamów i demoniczne krzyki i wrzaski - lament po zabitych, a może po prostu zwierzęce ryki wściekłości.

Nie zaatakowali nas także w ciągu kolejnych dni. Opatrzyliśmy rany naszego jeńca i szybko opanowaliśmy jego prymitywną mowę. Była tak różna od naszej, że nie mogę sobie wyobrazić, by mogły pochodzić ze wspólnego źródła.

Na imię miał Grom i był, jak się przechwalał, wielkim łowcą i wojownikiem. Rozmawiał chętnie i nie żywił urazy. Uśmiechał się szeroko, pokazując podobne do kłów zęby. Paciorkowate oczy błyszczały spod splątanej czarnej grzywy opadającej na niskie czoło. Jego krępe członki były niemal jak małpie.

Bardzo interesował się swoimi pogromcami, choć nie potrafił zrozumieć, czemu został oszczędzony. Aż do końca pozostało to dla niego nie wyjaśnioną tajemnicą, Piktowie byli posłuszni prawom walki o byt w sposób bardziej jeszcze bezwzględny niż my, Esirowie. Byli praktyczniejsi, na co by wskazywał ich bardziej osiadły tryb życia. Nigdy nie wędrowali tak daleko ani tak bez celu jak my. A jednak to my byliśmy pod każdym względem rasą wyższą.

Pod wrażeniem naszej inteligencji i zdolności bojowych Grom zaproponował, że powróci na wzgórze i w naszym imieniu zawrze pokój ze swoim ludem. Nie miało to dla nas znaczenia, ale pozwoliliśmy mu odejść. O niewolnictwie nikomu się jeszcze nie śniło.

Tak więc Grom powrócił do swego ludu, a my zapomnieliśmy o nim. Tyle że podczas łowów stałem się nieco bardziej ostrożny. Sądziłem, że leży gdzieś i czeka, by posłać strzałę w

moje plecy. Aż pewnego dnia usłyszeliśmy łomot tam-tamów i Grom pojawił się na skraju dżungli z rozciągniętą w gorylim uśmiechu twarzą. Wraz z nim przybyli wymalowani, okryci skórami, strojni w pióra wodzowie klanów. Nasza waleczność napelniła ich lękiem, a jeszcze większe wrażenie uczyniło oszczędzenie Groma. Nie pojmowali łagodności - ich zdaniem zbyt nisko ich ceniliśmy, by kłopotać się zabijaniem kogoś, kto był w naszej mocy.

I tak zawarliśmy pokój. Było wiele hałasu, przysięg, wiele dziwnych zaklęć i rytuałów. My przysięgaliśmy tylko na Ymira i żaden Esir nie złamał nigdy takiej przysięgi. Oni jednak zaklinali się na żywioły, na swego bożka siedzącego w chacie, w której płonął wieczny ogień i zasuszona starucha całą noc waliła w skórzany bęben, a także na inną jeszcze istotę, zbyt straszną, by ją nazwać.

Potem zasiedliśmy dookoła ognisk, ogryzaliśmy obrosnięte mięsem kości i piliśmy ognisty wywar z dziko rosnącego zboża. Zdumiewa mnie, że ta uczta nie przerodziła się w masakrę, gdyż diabelską moc miał ów trunek, sprawiający, że czuliśmy, jakby robaki przewiercały nasze mózgi. Nic strasznego nie wynikło jednak z tego pijaństwa i od tego dnia żyliśmy w pokoju z naszymi barbarzyńskimi sąsiadami. Nauczyli nas wielu rzeczy, a więcej jeszcze przejęli od nas. Pokazali nam jednak sposoby obróbki żelaza, które musieli poznać, gdyż na wzgórzach nie było miedzi. Szybko prześcignęliśmy ich także w tej umiejętności.

Swobodnie wchodziliśmy do ich wiosek - niewielkich skupisk lepianek na polanach położonych wokół szczytów, w cieniu gigantycznych drzew. My także pozwalaliśmy Piktom odwiedzać wedle woli nasze obozowiska - rzadkie szeregi skórzanych namiotów na płaskowyżu, gdzie rozegrała się bitwa. Nasi młodzieńcy nie zwracali uwagi na ich krępe kobiety o oczach jak paciorki, także naszych smukłych dziewcząt z potarganymi złotymi czuprynymi nie pociągali barbarzyńcy o owłosionych piersiach. Wieloletnie współzycie na pewno zniwelowałyby obustronną niechęć i dwie rasy zmieszałyby się w końcu tworząc jeden lud. Zanim jednak zdążył nadejść ten czas, lud Esirów odszedł, znikając w tajemniczych mgłach południa. Przed tym exodusem przeżyliśmy jednak grozę spotkania z Potworem.

Często polowałem z Gromem, który prowadził mnie przez nie zamieszkane, drzemiące doliny i w górę, po zboczach cichych wzgórz, gdzie dotąd nie stanęła ludzka stopa. Była jednak kotlina, dalej, wśród całego ich labiryntu na południowym zachodzie, do której nie chciałem wejść. Na jej dnie widać było resztki strzaskanych kolumn, reliktyw dawno zapomnianej cywilizacji. Grom pokazał mi je z urwisk otaczających tajemnicze miejsce. Nie chciałem jednak zejść do nich i odwoził mnie od samotnej wyprawy. Lękał się otwarcie mówić o czającym się w dole niebezpieczeństwie, było ono jednak groźniejsze niż wąż czy tygrys, a nawet potężne słonie, których niszczycielskie stada zjawiały się czasem z południa.

Ze wszystkich zwierząt, jak swą gardłową mową wyjaśnił mi Grom, Piktowie obawiali się jedynie Sathy, wielkiego węża, i unikali okolicy, którą zamieszkiwał. Lecz było jeszcze coś, czego także się lękali, i to coś w jakiś sposób łączyło się z Doliną Popękanych Głazów, jak nazywali miejsce, gdzie leżały pokruszone kolumny. Dawno temu, gdy ich przodkowie dopiero przybyli do tej krainy, ośmielili się wkroczyć do tej posępnej kotliny i cały ich klan zginął nagle, w nie wyjaśniony, budzący przerażenie sposób. A przynajmniej Grom mi tego nie wyjaśnił.

Groza nadeszła skądś z głębi ziemi i nierozsądnie było mówić o tym. Wierzono bowiem, że To można przywołać rozmawianiem o Tym – czymkolwiek To było.

Grom jednak gotów był polować ze mną w każdym innym miejscu. Był największym łowcą spośród Piktów i przeżyliśmy razem wiele groźnych przygód. Kiedyś żelaznym mieczem wykutym własnymi rękoma zabiłem najstraszniejszą ze wszystkich bestii - starego szablozęba, którego dziś nazwano by chyba tygrysem, gdyż bardziej przypominał tygrysa niż cokolwiek innego. W rzeczywistości był raczej niedźwiedziej budowy, poza kocią niewątpliwie głową. Miał masywne łapy i nisko osadzone wielkie, ciężkie ciało. Zniknął z powierzchni ziemi, gdyż zbyt straszny był drapieżnikiem, nawet jak na tamte ponure czasy. Rosła moc jego mięśni i jego okrucieństwo, lecz mózg zmniejszał się, aż szablozęb zatracił nawet instynkt samozachowawczy. Zniszczyła go Natura, dbająca o zachowanie równowagi. Gdyby bowiem jego niesamowite zdolności do walki połączone były z inteligentnym umysłem, zniszczyłby wszystkie inne formy ziemskiego życia. Był wybrykiem ewolucji - oszalałego rozwoju, ukierunkowanego na kły i pazury, na niszczenie i zabijanie.

Zabiłem szablozęba po walce, która sama w sobie godna jest pieśni. Długie miesiące leżałem potem majacząc, ze straszliwymi ranami, nad którymi kręcili głowami w zdumieniu najtwardsi wojownicy. Piktowie twierdzili, że nigdy dotąd nie udało się nikomu w pojedynkę zabić tej bestii. A jednak wyzdrowiałem, ku powszechnemu zaskoczeniu.

W czasie gdy leżałem u wrót królestwa śmierci, nastąpiło rozbitcie plemienia. Takie pokojowe podziały zdarzały się często i w znacznym stopniu przyczyniały się do rozrzucenia po świecie jasnowłosych szczepów. Czterdziestu pięciu młodych mężczyzn jednocześnie wybrało sobie towarzyski i odeszło, aby założyć własny klan. Nie było żadnej rewolty. Ten rasowy obyczaj owocował w późniejszych wiekach, gdy szczepy pochodzące z tego samego pnia spotykały się po setkach lat odseparowania i z żywiołową radością podcinały sobie gardła. Aryjskie i praaryjskie plemiona zawsze miały tendencję do dzielenia się, klany odszczepiały się od głównego pnia i rozpraszały.

Owi młodzi ludzie, których prowadził mój towarzysz broni, Bragi, zabrali swe dziewczęta i wyruszyli na południowy zachód, wybrawszy na swą siedzibę Dolinę Popękanych Głazów. Piktowie ostrzegali, napomykając o straszliwym losie, jaki ich czeka, lecz Esirowie śmiali się tylko. Własne demony pozostawiliśmy na lodowych pustyniach smutnej, dalekiej pomocy, upiory innych ludów zaś nie robiły na nas wrażenia.

Gdy tylko w pełni odzyskałem siły, przypasałem miecz i wyruszyłem przez płaskowyż odwiedzić klan Bragiego. Grom nie towarzyszył mi. Od kilku dni nie pojawiał się w obozowisku Esirów. Znałem jednak drogę. Pamiętałem dobrze to miejsce, z którego patrzyłem na jezioro w górnej części doliny i gęstniejący w jej dolnej części las. Okalały ją strome urwiska, ostre granie odcinały od okolicy z obu stron. Przy niżej położonym, północno-zachodnim wejściu dno doliny było gęsto usiane zniszczonymi kolumnami. Niektóre z nich wznosiły się wysoko ponad korony drzew, inne rozpadły się, tworząc stosy porośniętych mchem kamieni. Jaka zbudowała je rasa, nie wiedział nikt. Zalękniony Grom wspominał jednak o włochatym, do małpy podobnym stworze, który w świetle księżyca tańczył do wtóru sprowadzającej szaleństwo i grozę

demonicznej muzyki piszczałek.

Opuściłem płaskowyż, na którym rozbiliśmy nasz obóz, zszedłem po zboczu w dół, przemknąłem przez płytką, zarośniętą całkowicie kotlinkę i wkroczyłem pomiędzy wzgórze. Pół dnia niespiesznego marszu dzieliło mnie od grzbietu, za którym leżała dolina z kolumnami. Przez całą drogę nie napotkałem śladu ludzkiej obecności - siedziby Piktów leżały daleko stąd, na wschodzie.

Wspiąłem się na grzbiet i spojrzałem na uśpioną dolinę, na spokojne błękitne jezioro, ciche zbocza, sterczące spomiędzy drzew połamane kolumny. Nie zauważyłem żadnego dymu, choć go oczekiwałem. Zobaczyłem za to sępy, krążące wolno nad grupką namiotów stojących nad brzegiem jeziora.

Powoli, ostrożnie, opuściłem się w dół i ruszyłem w stronę milczącego obozowiska. Tu zatrzymałem się, przejęty zgrozą. Spotykałem śmierć w wielu postaciach, wiele razy przed nią uciekałem i wiele razy sam dokonywałem rzezi, gdzie krew lała się jak woda, a na ziemi pozostawały stosy trupów. Tutaj jednakże napotkałem spustoszenie, którego skala przeraziła mnie i oszołomiła. Z klanu Bragięgo nie pozostał przy życiu nikt. Nawet jedno ciało nie było kompletne. Niektóre namioty stały jeszcze, inne, spłaszczone, wgniótł w ziemię ogromny ciężar. Zastanawiałem się nawet, czy to ogarnięte paniką stado słoń nie przetoczyło się przez obóz. Jednakże żadne słoń nie mogły spowodować takich zniszczeń, jakie oglądałem dookoła. Obozowisko przypominało rzeźnię, zasłaną fragmentami ludzkich ciał - ręce, stopy, głowy, wnętrzości... Broń leżała wokół, część jej poplamiona była zielonkawym śluzem, podobnym do tego, jaki wycieka z rozdeptanej gąsienicy.

Żaden człowiek nie mógł popełnić takiej potworności. Spojrzałem na jezioro. Zastanawiałem się, czy to z jego spokojnych wód, których ciemny błękit wskazywał na niezmierzone głębie, wypelził jakiś bezimienny, ziemnowodny potwór. A potem zobaczyłem ślad, pozostawiony przez zabójcę. Była to bruzda, którą mogłaby wyryć jakaś przeogromna dżdżownica, bruzda szeroka na kilka jardów, wykręcająca w stronę dolnej części doliny. Wewnątrz niej trawa była sprasowana, a małe drzewka połamane i wgniecione w ziemię, pokryte zielonym śluzem.

Gdy chwyciłem miecz i z furją w duszy ruszyłem wzdłuż bruzdy, usłyszałem wołanie. Obejrzałem się i zobaczyłem zstępującą z grani krępałą figurę. To był Grom, Pikt. Gdy pomyślę o odwadze potrzebnej do przewyciężenia wszelkich instynktów, jakie zaszczyły w nim tradycyjne nauki i własne doświadczenia, zaczynani doceniać głęboką przyjaźń, jaką żywił dla mnie.

Przykucnąwszy nad brzegiem jeziora, z włócznią w dłoni, lękliwie przeczesując spojrzeniem sennie, zarośnięte lasem zbocza doliny, opowiedział mi o grozie, która przy księżycu zaatakowała klan Bragięgo. Przedtem jednak wyjawiał mi to, czego dowiedział się od starców swego plemienia.

Dawno, dawno temu Piktowie po długiej wędrówce nadeszli z północnego wschodu i dotarli do tych porośniętych dżunglą wzgórze. Byli zmęczeni. Okolica zapewniała obfitość

zwierzyny i owoców, w pobliżu nie było też żadnych wrogich plemion. Zatrzymali się więc i zbudowali tu swoje lepianki.

Część z nich, cały klan licznego szczepu, obrała na siedzibę Dolinę Popękanych Głazów. Odkryli kolumny i ukrytą za nimi wśród drzew świątynię. Nie było w niej kaplicy ani ołtarza, a tylko czarna studnia czy sztolnia, znikająca w głębi ziemi. Nie było stopni, które mogłyby być wykute i używane przez człowieka.

Zbudowali w dolinie swą wioskę. Nocą, przy księżycu, zaatakowała ich groza, pozostawiając tylko połamane ściany chat i pokryte śluzem strzępy ciał.

W owych dniach Piktowie nie lękali się niczego. Zebrali się wojownicy innych klanów, śpiewali wojenne pieśni, tańczyli wojenne tańce. Idąc szerokim śladem śluzu oraz krwi dotarli do otworu sztolni w świątyni. Wykrzykiwali groźby i zrzucali w dół glazy, a nikt nie słyszał, by uderzały o dno studni. Potem usłyszeli wysokie tony muzyki. Z otworu wyskoczyła odrażająca, człekokształtna postać, tańcząca do wtóru melodii wydobywanej z piszczalki, którą trzymała w potwornych dłoniach. Zdumienie poraziło walecznych Piktów na widok tej istoty. Tuż za nią z podziemnych czeluści wydzwignęła się ogromna biała masa, oślizły koszmara, który strzały przebijały, lecz nie mogły powstrzymać który miecze cięły, lecz nie mogły zabić. Ociekający śluzem potwór runął na wojowników. Zgniatł ich w czerwoną miazgę, rozrywał na strzępy, jak ośmiornica rozrywa małe rybki, wysysał krew z połamanych kończyn, pożerał ich, choć jeszcze krzyczeli i bronili się. Pozostali przy życiu rzucili się do ucieczki, a potwór ścigał ich do samej grani, na którą jednak nie potrafił wciągnąć swego gigantycznego cielska.

Nie ośmielali się więcej wchodzić do milczącej doliny. Polegli przybywali jednak w snach do szamanów i starców, wyjawiając niezwykle, straszne tajemnice. Opowiadali o prastarej rasie na poi ludzkich istot, która kiedyś żyła w tych miejscach i która dla swych tajemniczych, nie wyjaśnionych celów wzniosła owe kolumny. Białe monstrum ze sztolni było bogiem tej rasy, wezwanym z pomocą nie znanej ludzkim synom magii z czarnych, niezglębionych podziemnych otchłani. Włochata istota była pomocnikiem, stworzonym, by służyć bóstwu - bezkształtnym, pierwotnym duchem, przywołanym z głębin i obleczonym w ciało, organiczne, lecz spoza granic ludzkiego poznania. Prastara, na pół ludzka rasa dawno już znikła w piekle, skąd wypełzła podczas czarnego zarania świata, lecz jej zwierzęcy bóg i jego nieludzki niewolnik żyli nadal. Obaj byli jednak uformowani z materii organicznej i można było ich zranić, lecz ludzie nie znali broni dość potężnej, by ich zabiła.

Bragi i jego klan zdążyli przeżyć w dolinie długie tygodnie, nim groza nadeszła. Dopiero wczorajszej nocy Grom, który dając dowód wielkiej odwagi polował w tej okolicy, sparaliżowany został przez wysokie tony demonicznej melodii. Chwilę później dobiegła go szalona wrzawa ludzkich wrzasków. Padł twarzą na ziemię i leżał, skrywając głowę w kępie trawy. Nie śmiał się ruszyć, nawet gdy ucichły krzyki, zagłuszone przez ohydne mlaskania i odgłosy strasznej uczty. O świcie, drżąc cały podszedł do urwiska i spojrzał w dolinę. Obraz pogromu, nawet oglądany z daleka, sprawił, że rzucił się do panicznej ucieczki. Potem przyszło mu do głowy, że powinien ostrzec resztę naszego plemienia. W drodze do obozowiska na płaskowyżu zobaczył mnie wchodzącego w dolinę.

Tak mówił Grom, a ja wsparłszy brodę na dloni pograżyłem się w mrocznych rozmyślaniach. Współczesny język nie jest w stanie oddać owego poczucia więzi plemiennej, odgrywającego w tamtych czasach istotną rolę w życiu każdego mężczyzny i każdej kobiety. W świecie, w którym ze wszystkich stron wznosiły się do ciosu kły i pazury, gdzie wszystkie ręce, oprócz należących do członków własnego klanu, podnosiły się przeciw jednostce, w tym świecie instynkt plemienny był czymś więcej niż tylko pustyni słowem, którym stał się dzisiaj. Był tak samo częścią człowieka jak jego serce czy prawa ręka. Tak być musiało. Tylko w ten sposób, połączona w nierozzerwalne grupy, mogła ludzkość przetrwać w straszliwych warunkach pierwotnego świata. Tak więc osobisty żal, który czułem po śmierci Bragiego, żal po zwinnych młodych mężczyznach i roześmianych, jasnoskórych dziewczętach tonął w morzu smutku i wściekłości, której intensywność i głębia miały iście kosmiczny wymiar. Siedziałem ponury, a obok mnie przykucnięty wyczekująco Grom spoglądał na przemian to na mnie, to na groźną dolinę, gdzie niby połamane zęby rechoczących wiedzów wylaniały się spośród morza liści przeklęte kolumny.

Ja, Njord, nie należałem do tych, którzy przesadnie obciążają pracą swój mózg. Żyłem w świecie fizycznej siły, a starcy plemienia myśleli za mnie. Należałem jednak do rasy, której przeznaczeniem była nie tylko fizyczna, ale i umysłowa dominacja. Nie byłem po prostu umięśnionym zwierzęciem. Siedziałem więc, i najpierw mgliście, a potem zupełnie wyraźnie pojawił się w mej głowie plan, który wyrwał krótki, okrutny śmiech z mojej krtani.

Powstałem i wezwałem Groma do pomocy. Na brzegu jeziora wznieśliśmy wielki stos z suchego drewna, masztów namiotów i połamanych drzewc włóczni. Pozbieraliśmy posępne szczątki, wszystko, co pozostało z klanu Bragiego i złożyliśmy je na stosie. Potem skrzesałem iskrę.

Ciemny, gęsty dym wzbil się w niebo, a ja zwróciwszy się do Groma poleciłem mu zaprowadzić się w dżunglę tam, gdzie czaiła się owa luską okryta groźba, Satha, wielki wąż. Pikt wpatrywał się we mnie zdumiony. Nawet najwięksi łowcy spomiędzy Piktów nigdy nie starali się spotkać potężnego gada. Wola moja była jednak niby wicher, który porwał go z sobą. Ruszyliśmy w drogę. Opuściliśmy dolinę jej wyżej leżącym przejściem, przekroczyliśmy grań, wspięliśmy się na urwisko i zanurzyliśmy w południowych gąszczach, gdzie żyli tylko groźni mieszkańcy dżungla. Głęboko musieliśmy się wdrzeć, zanim dotarliśmy do nisko położonego obszaru. Ciemny i wilgotny pod zwisającymi z drzew pnączami, pokryty był gąbczastym mulem, w którym głęboko grzęzły nasze stopy, i warstwą gnijącej roślinności, z której pod naciskiem tryskały strużki lepkiej cieczy. Była to, jak twierdził Grom, okolica odwiedzana przez Sathe, wielkiego węża.

Posłuchajcie, jaki był Satha. Nikogo takiego jak on nie ma dziś na ziemi ani nie było od nieprzeliczonych wieków. Jak drapieżne dinozaury, jak szablozęby, był zbyt straszny, by przetrwać - relikwiczasy, kiedy życie i jego formy były surowsze i ohydniejsze. W moich czasach niewiele już żyło przedstawicieli jego gatunku, choć, być może, zdołały przetrwać w większej liczbie jeszcze dalej na południu, w cuchnącym mule porośniętych dżunglą moczarów. Większy był od każdego z pytonów spotykanych współcześnie. Z jego kłów ściekała trucizna tysiącrotnie bardziej śmiertelna niż jad królewskiej kobry.

Piktowie czystej krwi nigdy nie oddawali mu czci. Robili to natomiast czarni, którzy przybyli później. Adoracja ta przetrwała także w mieszanej rasie, która powstała ze skrzyżowania Murzynów z ich białymi pogromcami. Dla wszystkich innych Satha był wcieleniem zła i strachu. Opowieści o nim przeszły do obszarów demonologii i w późniejszych wiekach stał się on diabłem ras białych. Stygijczycy czcili go najpierw, by znienawidzić, gdy stali się Egipcjanami, pod imieniem Seta, Pierwotnego Węża. Dla Semitów Satha był Lewiatanem i Szatanem. Był pełzającą śmiercią, dostatecznie straszny, by zostać bogiem. Zdarzyło mi się obserwować olbrzymiego słonia, który od jego ukąszenia padł martwy na miejscu. Widziałem go, widziałem, jak wije się krętą ścieżką poprzez dżunglę, widziałem, jak atakuje swe ofiary, lecz nigdy na niego nie polowałem. Zbyt był niebezpieczny, nawet dla zabójcy starego szabłożęba.

Teraz jednak tropiłem go, coraz dalej zagłębiając się w cuchnące opary. Nawet przyjaźń nie potrafiła już skłonić Groma do towarzyszenia mi. Radził, bym wymalował swe ciało i odśpiewał pieśń śmierci, lecz ja parłem naprzód, nie zwracając uwagi na jego słowa.

Na ścieżce, wijącej się wśród gęstych drzew, założyłem pułapkę. Znalazłem wielkie drzewo, miękkie, o porowatych włóknach, lecz z grubym, ciężkim pniem. Zrąbałem je mieczem u podstawy, tak kierując upadkiem, by czubek trafił w gałęzie rosnącego po drugiej stronie ścieżki mniejszego drzewa. W efekcie spoczęło pochylone, jednym końcem spierając się o ziemię, drugim o tamto mniejsze drzewo. Potem odciąłem dolne gałęzie, a znalazłszy cienki, twarde pień ociosalem go i wbilem pionowo pod pochylonego kolosa. Gdy ściałem podpierające go drzewo, ciężki słup wsparł się chwiejnie na podporze, do której przywiązałem długą, grubą jak mój nadgarstek lianę.

Potem wyruszyłem przez pierwotny półmrok dżungli. Przemóżny, ohydny fetor uderzył w moje nozdrza i spomiędzy wybijającej roślinności Satha wysunął swój odrażający łeb, kołysząc nim groźnie w obie strony. Rozdwojony język wysuwał się i chował, olbrzymie, straszne, żółte oczy chłodno wpatrywały się we mnie. Płonęła w nich złowroga mądrość mrocznego, pradawnego świata, który nie był światem ludzi. Cofnąłem się. Nie odczuwałem lęku, jedynie dziwny chłód w okolicy kręgosłupa. Satha ruszył za mną, wijąc się. W hipnotycznej ciszy jego osiemdziesięciostopowe ciało zafalowało nad gnijącymi resztkami roślin. Jego łeb w kształcie klina większy był od głowy najpotężniejszego ogiera, tułów grubszy niż ludzki korpus, łuski skrzyły się tysiącem zmiennych barw. Byłem dla niego niby mysz dla królewskiej kobry, miałem jednak kły, jakich żadna mysz nigdy nie miała.

Byłem szybki, wiedziałem jednak, że nie zdołam uniknąć błyskawicznego ciosu trójkątnej głowy. Nie mogłem dopuścić go zbyt blisko. Przemykałem ścieżką, słysząc odgłos pełzającego moim śladem giętkiego cielska, podobny do szelestu wiatru wśród traw.

Był już blisko, kiedy przebiegłem pod pułapką. A gdy pod drzewem przesuwiał się długi, lśniący kształt, chwyciłem w obie ręce lianę i szarpnąłem desperacko. Olbrzymi pień z hukiem runął na okryty łuską grzbiet Sathy, mniej więcej sześć stóp za jego głową.

Miałem nadzieję, że to uderzenie złamie mu kręgosłup, nie sądzę jednak, by tak się stało.

Ogromne cielsko zwinęło się i skręciło, potężny ogon ciał i smagał, młócąc krzewy jak cep. Kiedy pień runął, wielka głowa wykręcała się i ze strasznym impetem zaatakowała drzewo. Potężne kły rozdarły korę i drewno niby ostrza sztyletów. Po chwili Satha, jakby pojawił się, że próbował walczyć z nieożywionym przeciwnikiem, zwrócił się ku mnie. Stałem poza jego zasięgiem. Wygiął porośniętą łuskami szyję, rozwarł szczęki, odsłaniając długie na stopę kły. Jad, który z nich spływał, zdolny był przepalić litą skalę.

Sądzę, że gdyby nie złamana gałąź, która wbiła się głęboko w jego bok i trzymała go jak harpun, potrafiłby, dzięki swej oszalamiającej sile, wyczołgać się spod pnia. Jego syk zagłuszał głosy dżungli, oczy wpatrywały się we mnie z wyrazem tak skoncentrowanej nienawiści, że mimo woli zadrżałem. O tak, wiedział, że to ja go schwytałem. Podeszedłem na tyle blisko, na ile starczyło mi odwagi i szybkim, mocnym rzutem przeszyłem włócznią jego szyję tuż pod otwartą paszczą, przybijając ją do pnia. Ryzykowałem wiele. Daleko mu było do śmierci i wiedziałem, że wystarczyłaby chwila, by zdołał wyrwać grot i odzyskać swobodę ruchów, konieczną do zadania ciosu. Ale w ciągu tej właśnie chwili podbiegłem i wkładając w zamach miecza całą swą ogromną siłę, odciąłem obrzydliwy łeb.

Skręty i wicia uwięzionego Sathy były niczym w porównaniu z konwulsjami bezgłowego korpusu po śmierci. Wycofałem się, ciągnąc za sobą wielki łeb. W bezpiecznej odległości od wywijającego ogona zabrałem je do dzieła. Obcowałem z czystą śmiercią - nigdy jeszcze żaden człowiek nie pracował z większą ostrożnością niż ja w owej chwili. Spod nasady wielkich kłów wyciąłem woreczki jadowe, po czym zanurzyłem w straszliwej truciznie końce jedenastu strzał. Baczyłem pilnie, by tylko brązowe ostrza miały kontakt z ciecżą, która bez trudu strawiłaby twarde drzewca. W tym czasie, popychany przez ciekawość i przyjaźń do mnie, skradając się nerwowo przez gąszcza, nadszedł Grom. Rozdziawił usta, kiedy zobaczył głowę Sathy.

Przez długie godziny ostrza strzał mokły w jadzie, aż pokrył je śmiercionośny zielonkawy nalot i gdzieś tam pojawiły się drobne punkciki - miejsca, gdzie trucizna przeżarła lity brąz. Potem, choć noc już zapadła i wokół słychać było ryki polujących drapieżników, wyruszyliśmy wraz z Gromem przez porośniętą dżunglą wzgórze, by o świcie stanąć na urwisku, wznoszącym się nad Doliną Popękanych Głazów.

U wejścia do doliny złamałem swą włócznię; z kolczana wyjąłem i połamałem wszystkie nie zatrute strzały. Pomalowałem twarz i ręce tak, jak malują się Esirowie tylko wtedy, gdy wyruszają na pewną zgubę. Poranny wiatr rozwiewał moją jasną grzywę, gdy zwrócony twarzą ku wschodzącemu nad granią słońcu śpiewałem swą pieśń śmierci. Potem, z łukiem w ręku, zszedłem w dolinę.

Grom nie odważył się pójść ze mną. Został, wyciągnięty brzuchem na ziemi i wyl niby konający pies.

Minąłem jezioro i ciche obozowisko, gdzie wciąż jeszcze dymyły resztki pogrzebowego stosu. Wkroczyłem pomiędzy coraz grubsze pnie drzew. Wokół wznosiły się kolumny - bezkształtne stosy, pozostałość dawno minionych epok. Drzewa rosły coraz gęściej i samo

światło stawało się mroczne i zle pod ich pełnymi liści konarami. W półmroku dostrzegłem zrujnowaną świątynię, skruszone cyklopowe mury, masy odpadłego tynku, leżące w pyłe skalne bloki. Jakieś sześćset jardów bliżej, oddzielona od świątyni odkrytą polaną, wznosiła się wielka, wysoka na osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt stóp kolumna. Była tak zniszczona, podziurawiona przez czas i pogodę, że bez trudu wspiąłoby się na nią każde dziecko z mojego plemienia. Gdy ją dostrzegłem, zmieniłem swój plan.

Zbliżyłem się do ruin. Zobaczyłem grube, rozsypujące się mury podtrzymujące kopułę dachu. Była tak dziurawa, że przypominała wygięte nade mną, porośnięte mchem żebra szkieletu jakiegoś mitycznego monstrum. Gigantyczne kolumny strzegły wejścia, przez które dziesięć słoni mogłoby przejść obok siebie. Być może kiedyś wyryto na tych filarach jakieś inskrypcje czy hieroglify, dawno jednak zatarł je czas. Wewnątrz rząd lepiej zachowanych kolumn otaczał wielką komorę. Na każdej z nich umieszczono płaski .pedestał. Mgliste instynktowne przeczucie podsunęło mi niewyraźne obrazy odrażających, potwornych istot, siedzących na tych piedestałach w czasie niepojętych obrzędów, sięgających korzeniami gdzieś do mrocznych czasów zarania wszechświata.

Nie było ołtarza. Tylko otwór w kamiennej podłodze, prowadzący do studni czy sztolni, a wokół niego dziwne, wstrętne rzeźby. Wyrwałem z murszejacej posadzki wielkie kawały głazów i ciskałem je w sztolnię, skośnie opadającą w dół, w całkowitą ciemność. Słyszałem, jak odbijają się od ścian, ani razu jednak nie dobiegł do mnie odgłos uderzenia o dno. Kamień za kamieniem wpadał w otwór, a każdemu towarzyszyło przekleństwo. W końcu usłyszałem głos, który nie był grzechotem spadających głazów. Ze studni popłynął magiczny, demoniczny dźwięk piszczałki, istna symfonia szaleństwa. Głęboko w ciemnościach dostrzegłem przerażające lśnienie olbrzymiej, białej masy.

W miarę jak muzyka stawała się głośniejsza, cofałem się wolno. Przez szeroką bramę, wyszedłem na zewnątrz. Usłyszałem drapanie i zgrzyty, a w chwilę później z przejścia między kolumnami wylonila się, tańcząc, niezwykła postać. Poruszała się w pozycji wyprostowanej, jak człowiek, była jednak porośnięta futrem, najgęstszym w miejscu, gdzie powinna znajdować się twarz. Jeśli nawet miała uszy, nos i usta, to ja ich nie dostrzegłem. Spod futrzanej maski, wyglądała tylko para wytrzeszczonych czerwonych ślepi. W zdeformowanych rękach trzymał ów stwór przedziwny zestaw piszczałek, w które dmuchał ciągle, gdy tańcząc i wykonując groteskowe susy i podskoki szedł w moją stronę.

Ze świątyni dobiegł mnie ohydny dźwięk gramolącej się ze studni drgającej masy. Wyjąłem strzałę i napiąwszy luk, ze świstem posłałem ją prosto w pierś tańczącego stwora. "Padł jak rażony gromem, lecz muzyka, ku memu przerażeniu, rozbrzmiewała nadal, mimo że piszczałki wypadły z niekształtnej dłoni. Podbiegłem szybko do kolumny i nie oglądając się zacząłem się na nią wdrapywać. Gdy osiągnąłem wierzchołek i spojrzałem w dół, szok i zdumienie sprawiły, że niemal runąłem z zawrotnej wysokości mojego stanowiska.

Ze świątyni wysunął się straszliwy mieszkaniec ciemności. Oczekiwałem grozy, w ziemskiej jednak formie. To, co zobaczyłem, było wcieleniem nocnego koszmaru. Nie wiem, z jakiego to podziemnego piekła wypełził przed wiekami ten stwór, ani też z jakiej epoki

pochodził. Nie był zwierzęciem według ludzkiego pojmowania tego słowa. Z braku lepszego terminu można by nazwać go robakiem. Żaden 'Ziemski język nie zna słowa, które by mogło być jego imieniem. Mogę tylko stwierdzić, że bardziej przypominał robaka niż ośmiornicę, węża czy dinozaura.

Był biały i miękki i jak robak ciągnął po ziemi swoje drgające cielsko. Miał jednak szerokie, płaskie macki, mięsiste czułki oraz inne wyrostki, których przeznaczenia nie umiem wyjaśnić. Miał też długą trąbę, którą jak słoń zwijał i rozwijał. Czterdzieści jego oczu, ułożonych w przerażający okrąg, składało się z tysięcy faset, skrzących się tysiącami kolorów, w nieustannej przemianie zmieniających barwy i odcienie. Mimo jednak owej gry lśnień i błysków, z oczu tych patrzyła ciągle wroga inteligencja - skryty za połyskującymi fasetami, ani ludzki, ani zwierzęcy rozum, zrodzona w mroku demoniczna myśl, której potężny puls bijący w czarnych otchłaniach poza granicami naszego wszechświata wyczuwa się czasem we śnie. Potwór był olbrzymi. Przy jego cielsku nawet mamut zdawałby się karłem.

Drżałem ze strachu, który wzbudzał ten nie z tego świata pochodzący stwór. Mimo to naciągnąłem cięciwę aż do ucha i posłałem w niego strzałę. Potwór zbliżał się ku mnie niby ruchoma góra, gniotąc po drodze trawę i krzewy. Wystrzeliwałem jedną strzałę po drugiej, ze straszliwą siłą i śmiertelną precyzją. Nie mogłem chybić tak olbrzymiego celu. Pociski wbijały się aż po pióra w trzęsące się cielsko, niektóre nikły zupełnie, a każdy niósł dosyć trucizny, by powalić słonia. A jednak potwór zbliżał się do mnie z zatrważającą szybkością. Nie baczył na strzały ani na jad na ich grotach. I cały czas rozbrzmiewał doprowadzający do szaleństwa akompaniament strasznej melodii, wydobywającej się z leżących na ziemi, przez nikogo nie dotykanych piszczałek.

Moja wiara w zwycięstwo rozwiewała się - nawet jad Sathy był bezsilny wobec tej piekielnej istoty. Ostatnią strzałę posłałem w tę drżącą białą górę niemal pionowo w dół - tak blisko była już mojego stanowiska. I wtedy nagle zmieniła się barwa potwora. Po wielkim cielsku przesunęła się fala upiornego błękitu, zadygotało w konwulsjach, przywodzących na myśl trzęsienie ziemi. Stwór runął na dolną część mojej kolumny, zmieniając ją w stos pokruszonych kamieni. Równocześnie jednak i ja wybiłem się daleko wprzód, by spaść płasko na jego grzbiet.

Gąbczasta masa uginała się i poddawała pod naciskiem stóp. Chwyciłem miecz, wbiłam go aż po rękojeść i ciałem miękkie ciało, otwierając straszliwą, jardowej długości ranę, z której wytrysnęła struga zielonego śluzu. W chwilę później cios grubej macki strącił mnie z grzbietu kolosa i wyrzucił na trzysta jardów w górę. Runąłem między korony potężnych drzew.

Uderzenie musiało połamać połowę moich kości. Nie potrafiłem poruszyć ręką, ani nogą, gdy starałem się znów chwycić miecz i poczołgać do walki. Z pękniętym kręgosłupem mogłem co najwyżej wić się bezradnie. Widziałem jednak potwora i wiedziałem już, że mimo swej kieski zwyciężyłem. Gigantyczne cielsko wznosiło się i wyginało, macki szaleńczo cięły powietrze, czułki zwijały się i skręcały. Przyprawiającą o mdłości biel zmieniła błada, posępna-zieleń. Bestia zawróciła niezgrabnie i ruszyła z powrotem ku świątyni, zataczając się niby wrak na wzburzonym morzu. Drzewa gięły się i łamały, gdy zaczepiał o nie swym cielskiem.

Łkałem z wściekłości, nie mogłem bowiem chwycić miecza i zginąć, potężnymi ciosami sycąc płonąca, w mej duszy furię. Bóg-robak był jednak napiętnowany śmiercią i moje ostrze stało się już teraz bezużyteczne. Piekielne piszczalki wciąż wygrywały swą demoniczną melodię, pieśń śmierci dla potwora. Dostrzegłem, że zataczające się monstrum schwyciło ciało swego martwego niewolnika. Przez moment małpi kształt wisiał w powietrzu, opleciony podobną do trąby macką. Potem stwór cisnął nim o mur świątyni z siłą, która zmieniła owłosione ciało w bezkształtną miazgę. Wtedy dopiero piszczalki, wydawszy straszliwy zgrzyt, umilkły na zawsze.

Kolos chwiał się na krawędzi sztolni. A potem nastąpiła kolejna zmiana - straszliwe przeobrażenie, którego natury nie potrafię opisać. Nawet teraz, kiedy próbuję spokojnie to przemyśleć, niejasno tylko zdaję sobie sprawę z nienaturalnej, bluźnierczej, szokującej przemiany formy i materii. Później przedziwne ciało zsunęło się do sztolni, by runąć w ostateczną ciemność, skąd przybyło, a ja wiedziałem już, że jest martwe. A kiedy, z rozdzierającym słuch, zgrzytliwym dźwiękiem, zniknęło w otworze, zrujnowane mury świątyni zadrżały od kopuły po fundamenty. Pochyliły się do wnętrza, wybrzuszyły z ogłuszającym trzaskiem, rozpadły się kolumny, a sama kopuła runęła z potężnym hukiem. Przez chwilę powietrze wypełnione było odpryskami i pyłem rozbitych głazów, w którym widziałem, jakby uderzone burzą czy trzęsieniem ziemi, wściekle powiewające korony drzew. Potem wszystko znów pojaśniało, a ja patrzyłem strząsając zalewającą mi oczy krew. Tam, gdzie stała świątynia, leżał tylko olbrzymi stos spękanych murów i pokruszonych kamieni. Wszystkie kolumny w dolinie runęły, pozostawiając po sobie kupy gruzów.

W ciszy, która zapadła, usłyszałem głos Groma, śpiewającego pieśń żalobną nad moim ciałem. Polecilem mu, aby włożył miecz w moją dłoń. Uczynił to i pochylił się, to i wysłuchać rzeczy, które chciałem mu powiedzieć. Czas mój mijał 'bowiem szybko.

- Niechaj moje plemię pamięta - rzekłem powoli. – Niechaj opowieść płynie z wioski do wioski, z obozu do obozu, z klanu do klanu, by wszyscy dowiedzieli się, że ani człowiek, ani zwierzę, ani demon nie mogą żerować bezkarnie na jasnowłosym ludzie z Asgardu. Niech w tym miejscu wzniosą mi kopiec. Niech złożą tam mnie z moim łukiem, z mieczem w ręku, abym na zawsze mógł strzec tej doliny. Jeśli duch boga, którego zabiłem, przybędzie z głębin, mój duch zawsze będzie gotów stanąć z nim do walki.

Grom jęczał i bił się po owłosionej piersi, kiedy śmierć odnalazła mnie w Dolinie Grozy.

ZEMSTA SPOD ZIEMI

I

- Wbijajcie gwoździe, żołnierze! Niech nasz gość zobaczy, jak działa dobra, rzymska sprawiedliwość.

Mówiący te słowa szczerzej otulił purpurowym płaszczem swą potężną postać i rozparł się na krześle. Tak samo rozpięłaby się w loży Circus Maximus, by napawać się szczęciem mieczy gladiatorów. Poczucie siły emanowało z każdego ruchu tego człowieka. Duma była niezbędna dla dobrego samopoczucia obywatela Rzymu, a Tytus Sulla miał z czego być dumny. Był komendantem wojskowym Ebburacum i odpowiadał tylko przed rzymskim cesarzem. Ten mocno zbudowany, średniego wzrostu mężczyzna miał jastrzębie rysy Rzymianina czystej krwi. Teraz jego pełne wargi wykrzywił ironiczny uśmiech, który czynił wyniosłe słowa jeszcze bardziej aroganckimi. Ubrany był w stylu wojskowym - kaftan ze złotych łusek, odpowiedni do rangi inkrustowany półpancerz, krótki miecz u pasa. Na kolanach trzymał srebrzysty hełm z pióropuszem. Za nim stał nieruchomo oddział zbrojnych we włócznie i tarcze żołnierzy - jasnowłosych tytanów znad Renu.

Przed nim rozgrywała się scena dostarczająca mu najwyraźniej wielkiej satysfakcji. Scena zwyczajna wszędzie tam, dokąd sięgały rozległe granice rzymskiego Imperium. Na nagiej ziemi leżał prosty krzyż, do którego przywiązany był człowiek o dzikim wyglądzie - półnagi, o potężnych mięśniach i płonących oczach, z grzywą splecionych włosów. Katami byli rzymscy żołnierze. Gotowali się, by ciężkimi młotami wbić żelazne ćwieki w ręce i stopy ofiary, przybijając ją do drewna.

Niewielu ludzi przyglądało się tej scenie na budzącym grozę placu kaźni poza bramami miasta: gubernator i jego czujna gwardia, kilku młodych rzymskich oficerów oraz ten, o którym Sulla mówił „gość”, a który stał w milczeniu, podobny do spiżowego posągu. Wobec lśniących przepychem Rzymian jego skromny strój zdawał się szary, mroczny.

Choć ciemnowłosy, w niczym nie przypominał otaczających go Rzymian. Nie było w nim tej gorącej, niemal orientalnej zmysłowości krajów śródziemnomorskich, która emanowała z ich rysów. Bardziej był podobny do tych jasnowłosych barbarzyńców, stojących za krzesłem Sulli. Nie miał pełnych, krągłych, czerwonych warg ani gęstych, falujących loków, przywodzących na myśl greckie pochodzenie. Także jego ciemna cera nie miała typowego dla południowców oliwkowego odcienia - była to smagłość człowieka z północy. Cała sylwetka tego mężczyzny w nieuchwytny sposób przywodziła na myśl cienie i mgły, mrok, mróz i lodowate wichry namiętne, północnych krain. Nawet czarne oczy były zimne, jak ciemne ognie widoczne poprzez całe sążnie lodu.

Mimo średniego zaledwie wzrostu miał jednak w sobie coś, co nie było zależne od fizycznej wielkości, jakąś wrodzoną niepokonowaną żywotność, porównywalną tylko z witalnością wilka lub pantery. Była widoczna w każdej linii jego prężnego, zwartego ciała, w prostych, gęstych włosach, ułożeniu głowy jak u drapieżnego ptaka, szerokich ramionach, potężnej piersi, wąskich biodrach i niedużych stopach. Zbudowany z charakterystyczną dla dzikiej bestii ekonomią był wizerunkiem dynamicznych możliwości splecionych żelazną wolą.

U jego stóp przykucnął człowiek o podobnej cerze - lecz na tym ich podobieństwo się kończyło. Ten był skarłałym olbrzymem o sękatych ramionach, potężnym tułowiu, niskim, pochyłym czole. Twarz jego wyrażała tępe okrucieństwo, teraz wyraźnie pomieszane z lękiem. Człowiek na krzyżu, choć w pewien sposób podobny do „gościa” Tytusa Sulli, o wiele bardziej

przypominał tego przykucniętego, niskiego giganta.

- I cóż, Partho Mac Othna - rzucił gubernator z wystudiowaną arogancją. - Gdy wrócisz do swego plemienia, będziesz mógł opowiedzieć o sprawiedliwości Rzymu, który włada na południu.

- Będę mógł opowiedzieć - odparł tamten głosem nie zdradzającym śladu emocji. Na smagłej, nieruchomej twarzy nie odbijał się nawet ślad burzy, szalejącej w jego duszy.

- Sprawiedliwość dla wszystkich pod rządami Rzymu - powiedział Sulla. - Pax Romana! Nagroda za zasługi, kara za przestępstwa! - w duchu zaśmiał się z własnej obłudy.

- Sam widzisz, emisariuszu z Kraju Piktów - ciągnął - jak szybko Rzym karze zbrodniarza.

- Widzę - odrzekł Pikt, a w jego głosie zabrzmiała groźba, dowód powstrzymanego gniewu. - Widzę, że poddany obcego króla traktowany jest, jakby był rzymskim niewolnikiem.

- Został osądzony przez bezstronny sąd i skazany - odparował Sulla.

- Tak! A oskarżycielem był Rzymianin, świadkami Rzymianie, sędzią Rzymianin! Popelnił morderstwo? W chwili gniewu powalił rzymskiego kupca, który go oszukał, wykorzystał i okradł, a do tych krzywd dodał zniewagi. Ach, jeszcze go uderzył! A czyż psem jest jego król, że Rzym może wedle swych chęci ukrzyżować jego poddanego, skazanego przez rzymski sąd? Czyż zbyt słaby jest ten król albo zbyt głupi, by samemu wymierzyć sprawiedliwość, jeśli zostanie powiadomiony, a formalna skarga wniesiona przeciw winnemu?

- No cóż - rzekł cynicznie Sulla. - Sam możesz poinformować Brana Mak Morna. Rzym, przyjacielu, nie tłumaczy się barbarzyńskim władcom ze swych postępów. Kiedy dzikusy wchodzi między nas, niech zachowują się cicho albo niech ponoszą konsekwencje.

Pikt zacisnął zęby ze zgrzytem, który powiedział Sulli, że na dalsze docinki nie usłyszy żadnej odpowiedzi. Rzymianin skinął na katów. Jeden z nich chwycił gwóźdź i przystawiwszy go do szerokiego nadgarstka ofiary uderzył mocno. Żelazne ostrze zagłębiło się w ciało, zgrzytnęło na kości. Człowiek, na krzyżu zacisnął wargi, lecz nie wydał z siebie jęku. Szarpał się instynktownie, jak schwyty w pułapkę wilk rzuca się na pręty klatki. Żyły wystąpiły mu na skroniach, pot zrosił niskie czoło, napięły się mięśnie. Nieublagane młoty coraz głębiej wbijały ostrza w kostki i nadgarstki. Krew płynęła strumieniem po trzymających gwoździe rękach, płamila drzewo krzyża. Trzask pękających kości słyhać było wyraźnie. Skazaniec milczał. Ściągnął tylko poczerwiałe wargi, aż odsłoniły się dziąsła, głową rzucał na obie strony.

Partha Mac Othna stał jak posąg. Oczy płonęły na nieruchomej twarzy, mięśnie stwardniały od strasznego napięcia woli. U jego stóp przykucnął sługa o zdeformowanym ciele. Zasłaniając twarz przed przeraźliwym widokiem, oplótł ramionami nogi swego pana. Uchwyt tych ramion był jak stal, a sługa, jakby modląc się, bezustannie mrucał coś pod nosem.

Spadło ostatnie uderzenie. Przecięto powrozy, by ofiara zawisała podtrzymywana tylko przez gwoździe. Skazaniec zaprzestał już niezborno szarpania się, potęgującego tylko cierpienie. Jego czarne, błyszczące oczy nie odrywały się od twarzy tego, którego nazywano

Partha Mac Othna; błędził w nich desperacki cień nadziei. Żołnierze unieśli krzyż i wstawili jego koniec w przygotowany już otwór. Udeptali ziemię, by stał prosto. Pikt zawisł na gwoździach, wbitych w jego ciało, ciągle jednak żaden dźwięk nie wyszedł z jego ust. Dalej wpijał wzrok w twarz posła, lecz cień nadziei zniknął.

- Długo jeszcze pożyje - stwierdził pogodnie Sulla. - Tych Piktów trudniej zabić niż koty. Zostawię tu dziesięciu wartowników. Będą czuwać dzień i noc, żeby nikt go nie zdjął, zanim nie zdechnie. Hej, Waleriuszu, na cześć naszego szacownego sąsiada, króla Brana Mak Morna, podaj mu puchar wina.

Młody oficer wystąpił ze śmiechem, trzymając puchar, pełen po brzegi. Wspiąwszy się na palce uniósł go do spieczonych warg wiszącego na krzyżu. W czarnych oczach skazańca błysnął płomień straszliwej nienawiści. Odchyliwszy głowę, by nawet nie dotknąć pucharu, splunął wprost w oczy młodego Rzymianina. Waleriusz z przekleństwem cisnął kielich na ziemię i nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, wyrwał z pochwy swój miecz i zatopił go w ciele wiszącego.

Sulla zerwał się z okrzykiem wściekłości. Człowiek zwany Partha Mac Othna drgnął, lecz zagryzł wargi i milczał. Waleriusz zdawał się być lekko oszołomiony, gdy z markotną miną czyścił swój miecz. Działał instynktownie, reagując na obrazę obywatela Rzymu, jedyny czyn, którego nie mógł znieść.

- Oddaj miecz, młody panie! - krzyknął Sulla. – Centurionie Publiusz, aresztować go. Parę dni w celi o chlebie i wodzie nauczy go powściągać patrycjuszowską dumę, gdy w grę wchodzi wola Imperium. Co, młody głupcze, nie rozumiesz, że nie mogłeś temu psu ofiarować wspanialszego daru? Któż nie pragnąłby szybkiej śmierci od miecza miast powolnej agonii na krzyżu? Zabierzcie go. A ty, centurionie, dopilnuj, by pozostali tu wartownicy i by nie zdjęto ciała, nim kruki nie rozdziobią go do gołych kości. Partho Mac Othna, wybieram się na ucztę w domu Demetriusza. Czy zechcesz mi towarzyszyć?

II

Emisariusz pokręcił głową, nie odrywając oczu od bezwładnej postaci zwisającej z pokrytego ciemnymi plamami krzyża. Milczał. Sulla powstał i uśmiechając się ironicznie ruszył w kierunku miasta. Za nim podążył sekretarz, ceremonialnie niosący złożone krzesło oraz nieczuli na nic żołnierze. Między nimi szedł ze spuszczoną głową Waleriusz.

Partha Mac Othna zarzucił na ramię połę płaszcza; zatrzymał się, by przez chwilę popatrzeć na posępny krzyż i wiszący na nim ciężar rysujące się ciemną plamą na tle purpurowego nieba, na którym zaczynały się zbierać nocne chmury; potem oddalił się wolno, a za nim jego milczący sługa.

W jednej z rezydencji Ebbraconum człowiek zwany Partha Mac Othna jak tygrys w klatce tam i z powrotem przemierzał komnatę. Jego stopy w sandałach nie czyniły najmniejszego

hałas na marmurowych płytach.

- Grom - zwrócił się do swego sługi. - Wiem dobrze, czemu tak mocno ściskałeś me kolana, czemu wzywałeś na pomoc Księżycową Panią. Balesz się, że nie zapanuję nad sobą i zechcą dopomóc temu biedakowi. O bogowie, wierzę, że tego właśnie chciał ten rzymski kundel. Jego zakute w żelazo łańcuchowe psy pilnie na mnie baczyły, a jego szczekanie trudniej było znieść niż zwykle.

Bogowie czarni i biali, ciemności i światła! - w wybuchu pasji wznosił zaciśniętą pięść. - Musiałem stać i patrzeć na mojego człowieka, zarżniętego na rzymskim krzyżu - bez prawa, bez żadnego procesu prócz tej farsy! Czarni bogowie R'lyeh, nawet was wezwałbym, by zgubić i zniszczyć tych rzeźników. Klnę się na Bezimiennych, ludzie wyjąc ginąć będą za ten czyn, a Rzym zakrzyknie jak kobieta, która w ciemności nastąpiła na żmiję.

- On cię znał, panie - rzekł Grom. Poseł opuścił głowę i zakrył oczy dłonią.

- Jego wzrok będzie mnie prześladował jeszcze na łożu śmierci. Tak, znał mnie i do końca widziałem w jego oczach nadzieję, że potrafię mu pomóc. Bogowie i demony, czy Rzym na moich oczach zarżynać będzie moich ludzi? Psem więc jestem, nie królem!

- Nie tak głośno, w imię wszystkich bogów! - wykrzyknął przerażony Grom. - Gdyby tylko Rzymianie zaczęli podejrzewać, że to ty jesteś Branem Mak Mornem, przybiliby cię do krzyża obok tamtego.

- Dowiedzą się już niedługo - odparł król posępnie. - Zbyt długo ukrywam się tu w przebraniu posła, by szpiegować mych wrogów. Ci Rzymianie chcieli się ze mną zabawić, pod maską obludy kryjąc lekceważenie i wzdarcę. Rzym jest uprzejmy dla barbarzyńskich ambasadorów. Dają nam piękne domy do mieszkania, dają niewolników, kobietami, złotem, winem i grą zaspokajają żądze, ale cały czas się śmieją. Ich uprzejmość jest jak obelga, a czasami - jak dzisiaj - pogarda ujawnia się w całej pełni. Ba! Przejrzałem ich przynęty. Pozostałem spokojny, polykałem ich wystudiowane zniewagi, ale to... na wszystkie monstra piekła, to było ponad ludzką wytrzymałość. Moi ludzie patrzą na mnie. Jeżeli ich zawiodę, jeśli zawiodę choć jednego, choć najniższego z nich, kto im pomoże? Do kogo się zwrócą? Na bogów, na szyderstwa tych rzymskich psów odpowiem czarną strzałą i ostrą stalą.

- A wódz z pióropuszem? - Grom myślał o gubernatorze i w jego gardłowym głosie zagrała żądza krwi. - Umrze? - zabłysło wyciągnięte ostrze.

Bran spojrzał ponuro.

- Łatwiej powiedzieć niż wykonać. Umrze - ale jak go osiągnąć? Za dnia jego germańska gwardia stoi za jego plecami, nocą u drzwi i okien. Ma wielu wrogów, tak samo wśród Rzymian, jak wśród barbarzyńców. Wielu Brytów z rozkoszą poderżnęłoby mu gardło.

Grom schwycił Brana za płaszcz. Jąkał się, dzika żądza zerwała więzy jego spokojnej natury.

- Pozwól mi iść, panie! Moje życie nic nie jest warte. Zakłuję go pośród jego straży.

Bran uśmiechnął się i klepnął sługę po ramieniu z siłą, która powaliłaby kogoś słabszego.

- Nie, stary wilku. Za bardzo jesteś mi potrzebny. Nie pozwolę ci narażać życia beużytecznie. Sulla wyczyta zamiar w twoich oczach i oszczepy jego Teutonów przeszyją cię, nim zdążysz go dotknąć. Nie sztyletem z ciemności uderzymy w tego Rzymianina, nie trucizną w pucharze ani strzałą zza węgła.

Odwrócił się i przez chwilę zamyślony, ze spuszczoną głową spacerował po komnacie. Z wolna oczy jego pociemniały od myśli tak strasznej, że nie ośmielił się wypowiedzieć jej na głos.

- W czasie pobytu w tej przeklętej mieszance marmuru i błota zdołałem nieco poznać labirynty rzymskiej polityki - powiedział. - W czasie walk na Murze Tytus Sulla, jako gubernator tej prowincji, winien pospieszyć tam ze swymi centuriami. Ale tego nie robi Nie jest tchórzem, ale najdzielniejsi nawet wolą unikać pewnych rzeczy - każdy człowiek, najbardziej nawet śmiały, ma swe własne lęki. Pośle więc na swoje miejsce Gajusa Kamillusa, który w czasach pokoju patroluje moczary na zachodzie, by Brytowie nie przedarli się przez granicę. A Sulla zajmie miejsce w Wieży Trajana. Ha!

Odwrócił się i żelaznym chwytem ścisnął ramię Groma.

- Weź cisawego ogiera i pędź na północ! Niech trawa nie wyrasta tam, gdzie uderzą kopyta twego wierzchowca! Jedź do Cormaka na Connacht i powiedz mu, by z ogniem i mieczem przetoczył się przez granicę. Niech jego Celtowie nasycą się krwią. Wkrótce z nim będę. Ale na razie mam do załatwienia sprawy na zachodzie.

Oczy Groma błysnęły. Wykonał swą zdeformowaną ręką gwałtowny gest - instynktowne poruszenie człowieka dziczy.

Bran wyjął spod tuniki ciężką brązową pieczęć.

- To mój list żelazny jako posła do dworów Rzymu rzekł ponuro. - Otworzy wszystkie bramy pomiędzy tym domem a Baal-dor. A gdyby jakiś urzędnik zbyt dokładnie cię wypytywał... masz!

Uniósłszy wieko okutej żelazem skrzyni Bran wyjął niewielką, lecz ciężką skórzaną sakiewkę i podał ją wojownikowi.

- Gdy wszystkie klucze zawiodą u bramy - powiedział - spróbuj złotego klucza. A teraz idź!

Ceremonialne pożegnania nie były potrzebne barbarzyńskiemu królowi i jego barbarzyńskiemu wasalowi. Grom podniósł ramię w geście pozdrowienia, odwrócił się i wybiegł.

Bran podszedł do okratowanego okna i wyjrzał na zalaną księżycowym światłem ulicę.

- Poczekam, póki miesiąc nie zajdzie - mruknął posępnie. - Wtedy wejdę na drogę do...

piekła. Lecz nim ruszę, muszę spłacić dług. Usłyszał stuk podków po bruku.

- Z listem żelaznym i złotem nawet Rzym nie powstrzyma piktyjskiego rozbójnika
- szepnął król. - A teraz prześpię się do zachodu księżyca.

Spojrząwszy z pogardą na marmurowe fryzy i żłobkowane kolumny - symbole Rzymu, rzucił się na łożo, z którego dawno już zdarł poduszki i jedwabne materace jako zbyt miękkie dla jego zahartowanego ciała. Zasnął natychmiast, mimo wrzącej w nim nienawiści. Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyło go jego twarde, gorzkie życie, była umiejętność wykorzystywania na sen każdej możliwej chwili - niby wilk, śpiący na szlaku łowów. Na ogół spał lekko i bez marzeń, tym razem jednak było inaczej.

Zanurzył się w szare głębie snu i w beczasowej, mglistej dziedzinie cieni napotkał szczupłą, siwobrodą postać starca Gonara, kapłana Księżyca, najwyższego królewskiego doradcy. I Bran zatrzymał się przerażony, gdyż Gonar miał twarz bladą jak świeży śnieg i trząśł się, jak w ataku malarii. Bran miał powody, by się lękać. Przez wszystkie lata swego życia nie widział, by Gonar Mądry kiedykolwiek okazał strach.

- Co słyhać, starcze? - spytał król. - Wszystko dobrze w Baal-dor?

- Wszystko dobrze w Baal-dor, gdzie me ciało leży pogrążone we śnie - odrzekł stary Gonar. - Przybyłem poprzez pustkę, by walczyć z tobą o twą duszę. Królu, czyś szalony, że myśl taka powstała w twojej głowie?

- Gonarze - odparł posępnie Bran - tego dnia stałem spokojnie i patrzyłem, jak człowiek z mego ludu umiera na rzymskim krzyżu. Nie wiem, jakie było jego imię i jaki jego stan. Nie dbam o to. Wiem tylko, że należał do mnie. Pierwszym zapachem, który poznał, był zapach wrzosu. Pierwszym światłem, które zobaczył, było światło słońca wschodzącego nad piktyjskimi wzgórzami. Do mnie należał, nie do Rzymu. Jeśli kara była słuszna, to ja powinienem ją wymierzyć. Jeśli powinien być sądzony, ja powinienem być sędzią. Ta sama krew płynęła w naszych żyłach, ten sam ogień płonął w naszych sercach. Jako dzieci słuchaliśmy tych samych starych opowieści, w młodości śpiewaliśmy te same stare pieśni. Łączyły nas te same więzy, jakie łączą mnie z każdym mężczyzną, każdą kobietą, każdym dzieckiem w kraju Piktów. To ja miałem go chronić. A teraz ja muszę go pomścić.

- Ależ Branie! - wykrzyknął mag. - W imię wszystkich bogów wybierz inną drogę dla swej zemsty. Wróć na wrzosowiska, zbierz wojowników, połącz się z Cormakiem i jego Celtami i rozlej morze ognia i krwi na całej długości wielkiego Muru!

- Wszystko to uczynię - rzekł Bran. - Ale teraz - teraz - zemszczę się w sposób, o jakim nie śnił nawet żaden Rzymianin. Ha! cóż oni wiedzą o tajemnicach tej prastarej wyspy, na której dziwne życie chroniło się na długo przed tym, nim Rzym wyłonił się z bagien Tybru?

- Branie, istnieją narzędzia zbyt plugawe, by ich użyć. Nawet przeciwko Rzymowi.

- Ha! - Bran warknął jak szakal, krótko i ostro. - Nie ma broni, której nie użyłbym przeciw Rzymowi. Jestem przyparty do muru. Na krew demonów, czy Rzym walczył ze mną

uczciwie? Jestem barbarzyńskim królem okrytym wilczura, z żelazną koroną na głowie, walczącym garścią luków .i połamanych dzid z władcami świata. Co mam? Wzgórza porośnięte wrzosem, wiklinowe chaty, włócznie moich gorącogłowych współplemieńców. A walczę z Rzymem, jego zbrojnymi legionami, jego szerokimi, żyznymi równinami i morzami pełnymi bogactw, jego górami i rzekami, jego miastami, jego bogactwem, jego stałą, jego złotem, jego władzą i jego gniewem. I będę z nim walczył ogniem i mieczem, intrygą i zdradą, kolcem i żmiją na ścieżce, trucizną w pucharze, sztyletem w ciemności, tak
- głos jego ścichł - iż pomocą potworów spod ziemi.

- Ależ to szaleństwo - zawołał Gonar. - Zginiesz, próbując wykonać ten plan! Zejdiesz do piekła i nie powrócisz! Co wtedy stanie się z twoim ludem?

- Lepiej bym umarł, skoro nie mogę im służyć - rzekł król.

- Ale nie zdołasz nawet dotrzeć do istot, których szukasz - mówił Gonar. - Od niepamiętnych czasów żyją na uboczu. Nie istnieje brama, którą mógłbyś się do nich dostać. Dawno temu przecięły więzy łączące je ze światem, który znamy.

- Dawno temu - powiedział Bran - mówiłeś mi, że nic we wszechświecie nie jest oddzielone od strumienia życia - i mówiłeś prawdę, której dowody często widziałem. Każda rasa, każda forma istnienia związana jest w pewien sposób z resztą życia i ze światem. Istnieje gdzieś wątle ogniwo, łączące tych, których szukani, ze światem, który znam. Gdzieś istnieje Brama. I znajdę ją pośród niegościnnnych moczarów zachodu.

Groza błysnęła w oczach Gonara.

- Zguba! Zguba! Zguba krajowi Piktów! Zguba nie narodzonemu królestwu! Zguba, czarna zguba synom człowieka! Zguba, zguba, zguba!

Bran zbudził się w ciemnej komnacie. W prętach kraty w oknie odbijały się gwiazdy. Księżyc znikł już z jego pola widzenia, lecz słaba poświata ciągle drżała nad dachami domów. Król wstrząsnął się na wspomnienie snu i zdusił w ustach przekleństwo.

Wstał, odrzucając płaszcz i opończę. Wdział lekką kolczugę, przy- pasał miecz i sztylet. Podeszedł jeszcze raz do okutej żelazem skrzyni i wyjął z niej kilka niewielkich pakunków, których brzęczącą zawartość przesypał do skórzanej sakiewki. Potem cicho wyszedł z domu otulony swym szerokim płaszczem. Nie było tu żadnej służby, która mogłaby go szpiegować - zdecydowanie odmówił przyjęcia niewolników, w których Rzym, zgodnie ze swą polityką, zaopatrywał barbarzyńskich posłów. Zgarbiony Grom zaspokajał wszystkie skromne potrzeby Brana.

Stajnie stały w przedniej części dziedzińca. Przez chwilę szukał po omacku, nim położył dłoń na pysku wielkiego ogiera czekając, aż koń go rozpozna. Po ciemku założył mu siodło i uzdę, po czym, prowadząc go za sobą, wyszedł na wąską uliczkę. Księżyc zachodził; pas cienia rozszerzał się wzdłuż zachodniego muru. Marmurowe pałace i gliniane rudery Ebbracum stały cicho w zimnym świetle gwiazd.

Bran dotknął sakiewki, ciężkiej od złotych monet z pieczęcią Rzymu. Przybył do Ebbracum, by szpiegować, udając posła z kraju Piktów. Jednak, jako barbarzyńca, nie potrafił odegrać swej roli z chłodną etykietą i statecznym dostojeństwem. W jego pamięci tłoczyły się wspomnienia dzikich uczt, na których wino lało się z fontann; rzymskich kobiet o białych piersiach, które dość mając cywilizowanych kochanków patrzyły na pełnego męskości barbarzyńcę z czymś więcej niż tylko przychylnością; zmagani gladiatorów i gier, podczas których grzechotały kości, a wysokie stosy złota przechodziły z rąk do rąk. Pił dużo i grał ryzykownie, zgodnie z barbarzyńskimi zwyczajami. Swe zadziwiające szczęście zawdzięczał, być może, spokojowi, z jakim przyjmował zwycięstwa i porażki. Złoto było dla niego jak piasek przepływający między palcami. W swoim kraju nie potrzebował go, lecz w granicach cywilizowanego świata nauczył się cenić jego siłę.

W cieniu północno-zachodniego muru rozróżnił wylaniającą się z mroku wielką wieżę strażniczą, połączoną z murem zewnętrznym, nad którym ją wzniesiono. W jednej z jej części mieściły się lochy. Bran pozostawił konia ze zwisającymi ku ziemi wodzami w ciemnej alei, a sam cicho jak skradający się wilk wniknął w cień twierdzy.

Młodego oficera Waleriusza obudził z lekkiej, niespokojnej drzemki słaby dźwięk u zakratowanego okna. Usiadł i zaklął cicho, kiedy światło gwiazd, padające przez kraty na nagą, kamienną posadzkę przypomniało mu o doznanym poniżeniu. Cóż, pomyślał, wyjdzie stąd za parę dni; Sulla nie będzie zbyt surowy dla kogoś posiadającego tak wysokie koneksje. Niech wtedy ktokolwiek, mężczyzna czy kobieta, spróbuje z niego sztydzić! Przekleństwo na tego bezczelnego Pikta! Chwileczkę, przypomniał sobie nagle, co to za dźwięk go obudził?

- Pssst - zabrzmiał głos zza okna.

Po co taka tajemnica? To nie może być wróg - a jednak dlaczego miałby to być przyjaciel? Waleriusz podszedł do okna. Na zewnątrz niczego nie było widać wyraźnie w słabym świetle gwiazd. Dostrzegł tylko jakiś cień w pobliżu.

- Kim jesteś? - przysunął twarz do kraty, starając się przebić wzrokiem ciemność.

Odpowiedzią był stłumiony wybuch dzikiego śmiechu i błysk światła na długim ostrzu. Waleriusz zatoczył się i runął na ziemię, ściskając krtań. Charczał strasznie, próbował krzyczeć. Krew spływała pomiędzy jego palców, tworząc wokół drgającego ciała kałużę, w której mętnie, purpurowo odbijały się gwiazdy.

Na zewnątrz Bran znikł jak cień, nie zatrzymując się ani na chwilę, by zajrzeć do celi. W ciągu minuty warta w swym rutynowym obchodzie wyłoni się zza rogu. Już teraz słyszał miarowy krok ich ciężkich stóp. Przepadł, nim się pojawili, a oni spokojnie przemaszerowali obok małego okienka, nieświadomi leżących wewnątrz zwłok.

Bran dojechał do wąskiej furty w zachodnim murze nie zaczepiany przez senne patrole. Jakież ryzyko obcej inwazji na Ebbracum? - a do tego pewni dobrze zorganizowani złodzieje i porywacze kobiet sprawiali, że opłacało się nie być zbyt czujnym. Lecz samotny wartownik u zachodniej bramy - jego koledzy spali pijani w pobliskim lupanarze - podniósł włócznię i

krzyknął żądając, by Bran zatrzymał się i wyjaśnił, kim jest. W absolutnym milczeniu Pikt podjechał bliżej. Okryty ciemnym płaszczem wydawał się Rzymianinowi mglistym, niewyraźnym kształtem. Tylko para zimnych oczu błyszczała w mroku. Bran uniósł dłoń i w świetle gwiazd żołnierz dostrzegł lśnienie złota; w drugiej ręce widział połyskującą stal. Zrozumiał i nie wahał się w wyborze między przyjęciem łapówki a walką na śmierć i życie z tym nieznanym jeźdźcem, najoczywiściej barbarzyńcą. Mruczając coś pod nosem opuścił włócznię i otworzył bramę. Bran przejechał, rzucając garść monet do stóp Rzymianina. Spadły jak złoty deszcz dźwięcząc o bruk, wartownik schylił się pospiesznie, by je pozbierać, a Bran odjechał na zachód, podobny do upiora gnającego wśród nocy.

Dojechał do mglistych moczarów na zachodzie. Zimny wiatr przewiewał mroczną pustkę, kilka czapli ciężko machało skrzydłami na tle szarego nieba. Falowały długie trzciny i bagienne trawy, za posępną równiną kilka stawów gładką powierzchnią odbijało mętne światło. Tu i tam wznosiły się dziwnie regularne wzgórki, a 'na horyzoncie dostrzegł Bran szereg monolitów - menhirów, któż wie, przez czyje ręce wzniesionych?

Jako niewyraźne, błękitne pasmo widoczne były na zachodzie wzgórza, które daleko za linią horyzontu wyrastały w dzikie góry Walii, zamieszkiwane przez plemiona Celtów, nie znających jeszcze rzymskiego jarzma. Pod kontrolą trzymał je rząd dobrze obsadzonych wież strażniczych. Nawet z tego miejsca widział Bran wznoszącą się daleko za wrzosowiskami niezdobytą twierdzę, którą ludzie nazywali Wieżą Trajana.

Nagie ugory potęgowały posępny charakter krajobrazu, a mimo to życie ludzkie nie opuściło całkowicie tych miejsc. Bran spotykał milczących mieszkańców moczarów, powściągliwych ludzi o ciemnych włosach i oczach. Mówili dziwnym, mieszanym językiem, którego słowa długo ze sobą łączone zapomniały już o swych pierwotnie oddzielonych źródłach. Bran dostrzegał pewne podobieństwo pomiędzy sobą a tymi ludźmi. Spoglądał jednak na nich z pogardą, z jaką patrzy na mieszańców patrycjusz czystej krwi.

Nie znaczy to, że prosty lud w jego Kaledonii był całkiem czystego pochodzenia. Krępe ciała i masywne kończyny odziedziczone zostały po pierwotnej rasie Teutonów, która przybyła na północny skraj wyspy, nim jeszcze Celtowie zakończyli podbój Brytanii, i została wchłonięta przez Piktów. Lecz wodzowie narodu Brana od zarania dziejów chronili swą krew od obcych domieszek, a on sam był czystej krwi Piktem ze Starej Rasy. Natomiast ci ludzie z bagien, podbijani wciąż przez brytańskich, celtyckich i rzymskich zdobywców mieszały się z nimi i w trakcie tego procesu zapomnieli niemal o swym pierwotnym języku i pochodzeniu.

Bran pochodził z rasy niezwykle dawnej, obejmującej kiedyś w jednym potężnym Ciemnym Imperium całą zachodnią Europę. Było to, zanim nadeszli Ariowie, gdy przodkowie Celtów, Hellenów i Germanów byli jednym pierwotnym ludem, przed okresem rozbicia plemiennego i wędrówki na zachód.

Tylko w Kaledonii, dumal Bran. Jego lud oparł się marszowi Ariów. Słyszał o piktyjskim plemieniu Basków, które wśród urwisk Pirenejów nazywało się niepokonaną rasą. Wiedział jednak, że przez wieki płaciło ono daninę przodkom Celtów, nim ci porzucili swe górskie

dziedziny i pożeglowali do Irlandii. Jedynie Piktowie z Kaledonii pozostali wolnymi, a i ci rozbici byli na małe, walczące ze sobą szczepy. On sam był pierwszym od pięciuset lat ogólnie uznawanym królem, pierwszym z nowej dynastii o nowej nazwie. W samej paszczy Rzymu śnił Bram swój sen o imperium.

Wędrował przez moczary szukając Bramy. Nic o swym celu nie mówił ciemnokim ludziom z bagien. Powtarzali mu wieści, przekazywane z ust do ust - historie o wojnie na północy, muzyce kobz rozbrzmiewającej wzdłuż Muru, o wiciach płonących na wrzosowiskach, o ogniu, dymie i grabieży, o celtyckich mieczach nurzających się w purpurowym morzu krwi. Orły legionów szły na pomoc i prastary dukt rozbrzmiewał miarowym krokiem ciężkich stóp. A Bran, na moczarach zachodu, śmiał się zadowolony.

W Ebbراعum Tytus Sulla wydał tajny rozkaz odszukania piktyjkiego posła o celtyckim imieniu, który wzbudził podejrzenia, a który znikł tej samej nocy, kiedy to młodego Waleriusza znaleziono w jego celi z poderżniętym gardłem. Sulla przeczuwał, że nagły wybuch wojennej pożogi na Murze związany był blisko z egzekucją skazanego piktyjskiego przestępcy. Uruchomił sieć swoich szpiegów, choć był prawie pewien, że Partha Mac Othna jest już poza jego zasięgiem. Przygotowywał się do wymarszu z Ebbراعum, lecz nie towarzyszył licznemu oddziałowi legionistów, wysłanemu na północ. Sulla był odważny, lecz każdy człowiek ma swój własny strach. Dla gubernatora Ebbراعum strachem tym był Cormak na Connacht, czarnowłosy książę Celtów. Przysiągł on, że wytnie serce Tytusa Sulli i zje je na surowo. Tak więc wódz ze swą nieodłączną gwardią ruszył na zachód, gdzie wznosiła się Wieża Trajana. Jej wojowniczego komendanta, Gajusa Kamillusa, nic nie mogło bardziej ucieszyć, niż zajęcie miejsca zwierzchnika w chwili, gdy czerwona fala wojny oblewa podnóże Muru. Pokrętne to były sposoby, lecz rzymski legat rzadko odwiedzał odległą wyspę, a Tytus Sulla ze swym bogactwem i zdolnością intrygowania stanowił najwyższą władzę w Brytania.

Wiedząc to wszystko Bran cierpliwie czekał na jego przybycie w opuszczonej chacie, którą wybrał na swoją siedzibę.

Pewnego wieczoru ruszył pieszo przez wrzosowiska - potężna postać rysująca się wyraźnie na tle zamglonego, purpurowego płomienia zachodzącego słońca. Czuł niezwykłą starożytność tej śpiącej krainy, gdy szedł, niby ostatni człowiek w dzień po skończeniu świata. Dostrzegł w końcu ślad ludzkiej obecności - brunatna chata z sitowia i gliny stała w porośniętym trzciną sercu moczarów.

Z otwartych drzwi pozdrowiła go kobieta. Oczy Brana zwęziły się od nagłego podejrzenia. Nie była stara, a przecież w jej spojrzeniu kryła się złowroga mądrość wieków; jej strój, nędzny i podarty, jej włosy, splecione i nie uczesane, przydawały jej dzikości, tak dobrze pasującej do ponurego krajobrazu. Czerwone wargi uśmiechały się, ukazując ostre, spiczaste zęby; nie wesolość jednak, lecz szyderstwo wyrażał ten uśmiech.

- Wejdz, panie - rzekła - jeśli nie lękasz się dzielić dach nad głową z czarownicą z wrzosowiska Dagona.

Bran wszedł milcząc i siadł na popękanej ławie. Kobieta zajęła się skromnym posiłkiem,

który gotowała na otwartym ogniu, płonącym w zaniedbanym palenisku. Przyglądał się jej płynnym, węzowym ruchom, uszom, niemal spiczastym, dziwnie skośnym żółtym oczom.

- Czego szukasz wśród bagien, panie mój? - spytała, zwracając się ku niemu miękkim ruchem całego ciała.

- Szukam Bramy - odrzekł, wspierając głowę na dłoni. - Mam pieśń, którą chcę odśpiewać robakom ziemi.

Wyprostowała się gwałtownie. Garnek wysliznął się z jej rąk i roztrzaskał o ziemię.

- Nie trzeba tak mówić, nawet niechący - stwierdziła.

- Nie powiedziałem tego niechący. Taki był mój zamiar - odparł. Pokręciła głową.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Wiesz dobrze - odrzekł. - Tak, wiesz to dobrze! Moja rasa jest bardzo stara; władała tą wyspą, zanim jeszcze narody Celtów i Hellenów zrodziły się w łonie świata. Lecz lud mój nie był pierwszy w Brytanii. Na cętki na twojej skórze, na twe skośne oczy, na skazy w twoich żyłach, mówię to z pełną świadomością.

Stała przez chwilę nieruchomo; jej usta uśmiechały się, lecz oczy pozostały nieprzeniknione.

- Człowieku, czyś oszalał - spytała w końcu - że w swym szaleństwie szukasz tego, przed czym w dawnych czasach potężni mężowie uciekali z krzykiem?

- Chcę zemsty - wyjaśnił. - Zemsty, która może być spełniona tylko przez tych, których szukam. Pokręciła głową.

- Słuchałeś pieśni ptaków, śniłeś puste sny.

- Słyszałem, jak syczy żmija - warknął - i nie śnię. Dostyc słów. Przybyłem szukać ogniwa między dwoma światami. Znalazłem je.

- Nie muszę już więcej kłamać, człowieku z północy - rzekła. - Ci, których szukasz, wciąż żyją pod sennymi wzgórzami. Zamieszkali na uboczu, wciąż oddalając się od świata, który znasz.

- Lecz ciągle zakradają się nocą, by porywać kobiety, zabląkane na wrzosowiskach - powiedział, patrząc w jej Skośne oczy. Zaśmiała się złośliwie.

- Czego chcesz ode mnie?

- Żebyś zaprowadziła mnie do nich.

Odrzuciła głowę do tyłu, wybuchając wzgardliwym śmiechem. Bran schwycił lewą ręką, jak żelaznymi kleszczami, jej podartą suknię, prawą sięgnął do rękojeści miecza. Śmiała mu się

w twarz.

- Uderz i bądź przeklęty, mój północny wilku! Czy sądzisz, że moje życie jest tak słodkie, że będę czepiać się go jak niemowlę piersi matki?

- Masz rację - opuścił ręce. - Groźby tu na nic. Kupię twoją pomoc.

- Jak? - w rozbawionym głosie brzmiała drwina. Bran otworzył sakiewkę i sypnął na dłoń strumień złota.

- To większy majątek, niż kiedykolwiek śnił się ludziom z bagien.

- Czym jest dla mnie ten rdzawy metal? Zachowaj go dla rzymskich kobiet z białymi piersiami, które cię zdradzają.

- Wyznacz cenę - naglił. - Głowa twego wroga...

- Na krew w mych żyłach z jej dziedzictwem pradawnej nienawiści, któż może być moim wrogiem prócz ciebie? - wciąż się śmiała, gdy prostując się uderzyła miękko jak kot. Jej sztylet pękł jednak na ukrytym pod płaszczem pancerzu. Bran odepchnął ją gestem pełnym obrzydzenia. Przewróciła się na posłanie z trawy. Leżąc tam śmiała się z niego.

- A więc podam ci cenę, mój wilku! I mogą nadejść dni, że będziesz przeklinał tę zbroję, co złamała sztylet Atli!

Wstała i zbliżyła się. Jej niepokojąco długie ręce chwyciły jego płaszcz.

- Powiem ci, Czarny Branie, królu Kaledonii! Och, poznałam cię, gdy wszedłeś do mej chaty, poznałam twe czarne włosy i zimne spojrzenie! Zaprowadzę cię do bram piekła, jeśli chcesz, lecz ceną będą królewskie pocałunki. Co mam z tego przeklętego, gorzkiego życia ja, której śmiertelni boją się i nienawidzą? Nie zaznałam miłości mężczyzny, uścisku mocnego ramienia, gorących ludzkich pocałunków. Ja, Atla, czarownica z bagien! Cóż znam prócz zimnych wiatrów, posępnego płomienia samotnych zachodów słońca, szeptu traw? Twarze, co mrugają do mnie spod powierzchni wód, ślady nocnych istot, błysk czerwonych ślepi, przerażający warkot bezimiennych bestii wśród nocy! Przynajmniej w połowie jestem kobietą. Czyż nie znam zgryzot, tęsknoty, smutku, tępego bólu samotności? Daj, królu, daj mi swe gwałtowne pocałunki i raniący ciało uścisk barbarzyńcy. Wtedy, przez długie, puste lata, które nadejdą, daremna zazdrość wobec ludzkich kobiet nie pochłonie ze szczętem mojego serca. Będę miała wspomnienia, którymi niewiele z nich może się pochwalić - pocałunki króla! Jedna noc miłości, a zawiodę cię do bram piekła!

Bran spoglądał na nią ponuro. Wyciągnął rękę i stalowym chwytem złapał jej ramię. Wolno skinął głową. Przyciągnąwszy ją do siebie z wysiłkiem opuścił głowę na spotkanie jej uniesionych ust.

Jak wilgotna opończa spowijały króla Brana zimne, szare mgły świtu. Zwrócił się do kobiety, której skośne oczy lśniły w półmroku.

- Teraz ty wypełnij swoją część umowy - powiedział szorstko. - Szukałem więzi pomiędzy światami i w tobie ją znalazłem. Szukam jedynej świętej dla nich rzeczy. To będzie klucz, otwierający Bramę, co stoi niewidzialna między nimi a mną. Powiedz, jak mam go zdobyć.

- Powiem - czerwone wargi rozchyliły się w strasznym uśmiechu. - Idź na wzgórze, które ludzie nazywają Kurhanem Dagona. Odsuń głaz, który zamyka wejście i wkrocz pod kopułę. Podłoga komory to sześć kamiennych płyt, otaczających siódmą. Unieś środkowy kamień - wtedy zobaczysz!

- Czy znajdę Czarny Kamień?

- Kurhan Dagona to Brama do Czarnego Kamienia - odparła. - Jeżeli odważysz się pójść tą drogą.

- Czy będzie strzeżony? - bezwiednie poluzował ostrze w pochwie. Szkarłatne wargi wykrzywiły się szyderczo.

- Jeśli spotkasz kogokolwiek na tej drodze, umrzesz w sposób, w jaki od stuleci nie umierał żaden śmiertelnik. Oni nie strzegą Kamienia tak, jak ludzie swoich skarbów. Po co mieliby pilnować czegoś, czego człowiek nigdy nie szukał? Może będą w pobliżu, a może nie. Jest to ryzyko, jakie musisz podjąć, jeśli pragniesz zdobyć Kamień. Strzeż się, królu Piktów! Pamiętaj, że za dawnych dni to właśnie twój lud przeciął nić, wiążącą ich z ludzkim życiem. Byli wtedy niemal ludźmi - .pokrywali całą tę ziemię i znali światło słońca. Teraz odeszli na ubocze. Nie znają słońca, unikają księżyca, nawet¹ gwiazd nienawidzą. Daleko, daleko odeszli ci, którzy mogliby być ludźmi, gdyby nie włócznie twoich przodków.

Mętna szarość pokrywała niebo, a słońce świeciło zimnym światłem, gdy Bran dotarł do Kurhanu Dagona, okrągłego wzgórzka porośniętego trawą o dziwacznym wyglądzie. Po wschodniej stronie kopca widoczny był początek tunelu z grubo ociosanych głazów, najwyraźniej przechodzącego pod kurhanem. Wielki głaz zamykał wejście do grobowca. Bran chwycił go mocno i naparł z całej siły. Kamień nawet nie drgnął. Pikt wyjął miecz i wcisnął ostrze pod krawędź płyty. Używając broni jako dźwigni ostrożnie obluzował głaz i odwalił go na bok. Z otworu popłynął ohydny, trupi odór. Słabe słoneczne światło było raczej zaciemniane przez panujący w tunelu mrok, niż go rozjaśniało.

Z mieczem w dłoni, gotów sam nie wiedząc na co, Bran szedł po omacku długim, wąskim tunelem, zbudowanym z ułożonych jeden na drugim głazów, zbyt niskim, by się w nim wyprostować. Albo jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, albo światło dnia zdołało jednak rozjaśnić ją nieco, dość że gdy wszedł do niskiej, okrągłej komory, zdołał rozpoznać jej kopulasty kształt. To niewątpliwie tutaj złożono kości tego, dla kogo wzniesiono ten grobowiec i usypano nad nim ziemię. Teraz żaden ślad nie pozostał po nich na kamiennej podłodze.

Bran pochylił się nisko i natężając wzrok zauważył dziwny, zadziwiająco regularny rysunek podłogi: sześć dokładnie obrobionych płyt przylegało do siódmej, sześciobocznej. Wcisnął w szparę między nimi ostrze miecza i nacisnął ostrożnie. Krawędź środkowego kamienia podniosła się lekko. Trochę wysiłku i uniesiony kamień oparty został o pochyłą ścianę. Bran zajrzał w otwór. Dostrzegł tylko otchłanną czerń ciemnej studni i niewielkie, wytarte stopnie, wiodące wciąż w dół, aż ginęły z pola widzenia. Nie wahał się. Mimo dziwnego mrowienia między łopatkami, zsunął się do otworu czując, jak pochłania go lepka ciemność.

Po omacku ześlizgiwał się i potykał na stopniach zbyt małych dla ludzkich stóp. Raz po raz łapiąc równowagę opierał się o ścianę studni - lękał się upadku w nieznaną, nieznającą światła głębie. Stopnie były zupełnie starte, mimo że wykuto je w litej skale. Im głębiej schodził, tym mniej przypominały schody, zmieniając się w zwykłe bryły wygładzonego kamienia. Kierunek szybu zmienił się nagle. Wciąż prowadził w dół, lecz jako ukośna sztolnia. Szedł nią w głąb, zaczepiając łokciami o wklęsłe ściany, pochylając głowę pod zaokrąglonym sklepieniem. Stopnie znikły zupełnie i skała wydawała się w dotyku śliska jak legowisko węży. Jakież istoty, zastanawiał się, pelzały w dół i w górę tą sztolnią; przez ile wieków?

Tunel zwężał się i Bran leżąc nogami do przodu, z wysiłkiem przeciskał się, odpychając się rękoma. Wiedział, że zsuwa się głębiej i głębiej, do samych wnętrzości ziemi. Nie śmiał myśleć, jaka odległość dzieli go od powierzchni.

W ciemnej otchłani zamigotało słabe, zwodnicze światełko, Bran uśmiechnął się bez radości. Jeśli ci, których szukał, zaatakują go teraz, jakże będzie mógł się bronić w tym wąskim przejściu? Lecz strach pozostawił za sobą już w chwili, gdy ruszał na tę wyprawę do piekła.

Czołgał się, myśląc tylko o swym celu. Wreszcie otworzyła się wokół niego przestrzeń i mógł stanąć prosto. Nie widział stropu, wyczuwał jednak ogromną, przyprawiającą o zawrót głowy pustkę. Ciemność napierała ze wszystkich stron, mógł jednak dostrzec za sobą wejście do sztolni, która doprowadziła go w to miejsce - czarną plamę pośród czerni. Przed nim stał ołtarz, zbudowany z ludzkich czaszek. Sączył się z niego dziwny, budzący trwogę blask. Nie potrafił określić źródła światła, lecz nie było to ważne. Na ołtarzu leżał przedmiot mroczny jak noc - Czarny Kamień.

Bran nie tracił czasu na dziękowanie losowi za to, że w pobliżu nie było strażników tej posępnej relikwia. Chwycił Kamień i ściskając go pod lewym ramieniem wczuł się z powrotem do sztolni.

Kiedy człowiek odwraca się do niebezpieczeństwa plecami, lodowate groźby bardziej trwożą niż wtedy, kiedy staje ku niemu twarzą. Bran czołgał się w 'górze' ciemnym tunelem ściskając swą zdobycz i czuł, jak mrok skrada się za nim, pokazując kły w straszliwym uśmiechu. Zimny pot zalewał mu oczy. Spieszył się jak mógł, wytężając słuch na ciche dźwięki, zdradzające, że ścigające go plugawe kształty następują mu na pięty. Drżał, a krótkie włosy na karku stawały mu sztorcem, jakby od lodowatego wichru, wiejącego w plecy.

Kiedy doszedł do pierwszego z wytartych stopni, czuł się, jakby osiągnął zewnętrzne granice świata śmiertelnych. Ruszył w górę, ślizgając się i potykając, aż z głębokim

westchnieniem ulgi dotarł do grobowca, którego widmowa szarość wydała om się oślepiającym blaskiem południa w porównaniu ze stygijskimi głębiami, przez które przeszedł. Ułożył na miejscu środkowy kamień i pospieszył ku światłu dnia. Nigdy jeszcze nie powitał żółtego, zimnego słońca z większą wdzięcznością niż wtedy, kiedy rozproszyło cienie czarnoskrzydłych koszmarów strachu i szaleństwa, które, jak mu się zdawało, ścigały go z mrocznych głębin. Wepchnął na miejsce wielki głaz zamykający wejście do grobowca, poczym podniósłszy pozostawiony tu płaszcz zawinął w niego Czarny Kamień. Potem odszedł pospiesznie. Odraza wstrząsała jego duszą, dodając mu skrzydeł.

Cicha szarość pokryła ziemię. Kraj wydawał się opuszczony, jak ciemna strona księżyca. Bran czuł jednak ukryte życie - pod stopami, w brunatnej ziemi - śpiące. Kiedy miało się zbudzić i w jaki straszny sposób?

Przedzierając się przez wysokie trzciny dotarł do niewielkiego jeziora, zwanego przez ludzi Stawem Dagona. Najmniejsza zmarszczka nie zakłócała błękitnej gładzi, by dać świadectwo życia straszego potwora, zamieszkującego, zgodnie z legendą, tę toń, Bran zbadał uważnie martwy pejzaż. Nie dostrzegł żadnych śladów życia, ludzkiego czy nie. Sprawdził jeszcze, czy instynkt jego dzikiej duszy nie wyczuwa, czy jakieś niewidocznie oczy wbijają w niego swe śmiertelne spojrzenie. Nie, był sam jak ostatni żywy człowiek na ziemi.

Pospiesznie odwinął Czarny Kamień. Nie starał się przeniknąć tajemnicy materiału, z którego wykonano ten lity blok ciemności, ani sekretu wyrytych na nim znaków. Zważył go w dłoniach i oceniwszy odległość rzucił mocno tak, że Kamień spadł niemal dokładnie na środku jeziora. Z posępnym pluskiem zamknęły się nad nim wody. Przez chwilę po powierzchni przebiegały lśniące błyski, potem wyrównała się i wygładziła, jak przedtem.

IV

Czarownica obejrzała się zaskoczona, gdy Bran stanął w drzwiach. Jej skośne oczy rozszerzyły się, ze zdumienia.

- Ty! Żywy! I normalny!

- Byłem w piekle i powróciłem - burknął. - Co więcej, znalazłem to, po co poszedłem.

- Czarny Kamień? - krzyknęła. - Naprawdę ośmieliłeś się go ukraść? Gdzie on jest?

- To nieważne. Ale ostatniej nocy mój ogier rżał w swej zagrodzie. Słyszałem, jak coś trzasnęło pod jego kopytami - coś, co nie było ścianą stajni... Rano, kiedy przyszedłem popatrzeć, znalazłem krew na jego podkawkach i krew na ziemi. A nocą słyszałem dziwne dźwięki, jakieś hałasy pod klepiskiem, jakby głęboko w ziemi ryły robaki. Oni wiedzą, że zabrałem ich Kamień. Czy to ty mnie zdradziłaś?

Pokręciła głową.

- Dotrzymałam sekretu. Oni nie potrzebują mych słów, by dowiedzieć się o tobie. Im dalej odchodzą od świata ludzi, tym większa jest ich moc w sztukach tajemnych. Któregoś ranka twa chata stanie pusta, a jeżeli ktoś ośmieli się ją zbadać, nie znajdzie niczego – oprócz drobnych grudek ziemi na klepisku.

Bran uśmiechnął się.

- Zaplanowałem wyprawę i trudem się nie po to, by paść ofiarą zbrodniczych szponów. Jeśli dostaną mnie wśród nocy, nigdy się nie dowiedzą, co się stało z ich bożkiem... czy czymkolwiek to dla nich jest. Będę z nimi mówił.

- Ośmielisz się pójść ze mną i nocą spotkać się z nimi?

- Pioruny wszystkich bogów - warknął. - Kim jesteś, by pytać mnie, czy się ośmielę? Prowadź mnie do nich jeszcze tej nocy i pozwól układać się o zemstę. Zbliża się dzień zapłaty. Dziś zobaczyłem poprzez wrzosowiska srebrzyste helmy i lśniące tarcze - nowy dowódca przybył do Wieży Trajana, a Gajus Kamillus wyruszył na Mur.

Nocą król i milcząca czarownica poszli przez mroczną pustkę moczarów. Noc była cicha i tak spokojna, jakby cały prastary łąd pogrążył się w drzemce. Z daleka mrugały gwiazdy, drobne czerwone punkciki na czarnym tle nieba. Ich blask był słabszy niż lśnienie oczu kobiety, sunącej przy boku Brana.

Dziwne, nieokreślone, pierwotne myśli przebiegały przez głowę króla Tej nocy zadrzały w jego duszy pradawne więzy, łączące go z tymi uśpionymi wrzosowiskami, dręczące fantasmagoriami przyćmionych przez eony kształtów strasznych snów. Ciężar wieku jego rasy legł mu na barkach; tam, gdzie siedł teraz, wygnaniec i obcy, kiedyś władali ciemnoocy królowie, których cechy odziedziczył. W 'porównaniu z jego ludem celtyccy i rzymscy najeźdźcy byli tylko gośćmi na tej wyspie. Ale i jego rasa, jak tamte, była rasą najeźdźców. Był lud starszy niż jego - lud, którego początki skrywały się w ciemnej chmurze zapomnienia.

Przed nimi wznosiło się niewysokie pasmo wzgórz, tworzące najbardziej na wschód wysuniętą część tych rozrzuconych łańcuchów, które daleko stąd przeistaczały się w góry Walii. Kobieta poprowadziła go ścieżką, wydeptaną być może przez owce. Zatrzymała się przed szerokim, ciemnym wejściem do jaskini.

- Przejdźcie do siedzib tych, których szukasz, królu! – zaśmiała się nienawistnie. - Czy ośmielisz się wejść?

Chwycił jej splątane włosy i szarpnął wściekle.

- Raz jeszcze spytaj, czy się ośmielę - zapewnił - a twoja głowa pożegna się z twymi ramionami! Prowadź.

Śmiech jej był jak słodki, trujący jad. Weszli do grotty. Bran skrzesał iskrę krzesiwem, a płonąca hubka ukazała mu obszerną, zapyloną komorę. U stropu wisiały gromady nietoperzy.

Zapalił pochodnię, uniósł ją do góry i zbadał zacienione wnętrza. Nie znalazł nic prócz pustki i kurzu.

- Gdzie oni? - warknął.

Skinęła na niego z tylnej części jaskini i - jakby przypadkiem - oparła się o szorstką ścianę. Lecz bystre oczy króla pochwyciły ruch jej dłoni, przyciśniętej do skalnego występu. Cofnął się, gdy czarna studnia rozwarła się nagle u jego stóp. Jeszcze raz jej śmiech zranił go jak srebrzysty sztylet. Pochylił nad otworem pochodnię i znowu zobaczył wytarte, prowadzące w dół stopnie.

- Oni nie potrzebują tych schodów - rzekła Atla. – Kiedyś z nich korzystali, zanim twój lud zagnał ich w ciemności. Ale ty będziesz ich potrzebował.

Wstawiła pochodnię do niszy nad zejściem tak, by rzuciła słabe, czerwone światło w panującą na dnie ciemność. Wskazała na otwór. Bran poprawił miecz w pochwie i ruszył w dół. Gdy zagłębiał się w tajemniczą ciemność, coś zasłoniło światło nad jego głową. Przez chwilę myślał, że Atla zakryła otwór, potem zdał sobie sprawę, że to ona schodzi za nim.

Schodzenie nie trwało długo. Nieoczekiwanie Bran poczuł, że stoi na trwałym podłożu. Nie potrafił ocenić rozmiarów miejsca, w którym się znalazł. Atla prześliznęła się obok niego i stanęła w mętym kręgu padającego z góry światła.

- Wiele jaskiń na wzgórzach - jej głos brzmiał w pustce słabo i dziwnie głucho - to tylko drzwi do większych jaskiń leżących w głębi. Tak jak słowa i czyny człowieka wskazują tylko ma ciemne groty mrocznych myśli i zamiarów, leżące za nimi i pod nimi.

Bran wyczuł jakieś poruszenie w ciemnościach. Mrok wypełniły ukradkowe dźwięki, niepodobne do żadnych głosów, jakie powoduje krok człowieka. W czerni zaczęły się nagle zapalać i falować słabe iskierki, niby świetliki. Zbliżały się, aż otoczyły go szerokim półksiężycem. Za nimi lśniły następne, całe morze, zanikały powoli w mroku, aż widoczne były tylko jako drobniutkie punkciki światła. Bran wiedział, że są to skośne oczy istot, które przyszły do niego w takiej liczbie, że czuł zawrót głowy na samą myśl o tym - i o ogromie jaskini.

Nie czuł lęku stojąc twarzą w twarz ze swymi odwiecznymi wrogami. Wyczuwał emanujące z tłumu fale straszliwej nienawiści, nieludzkiej groźby dla ciała, umysłu i duszy. Dokładniej niż ktoś z młodszej rasy zdawał sobie sprawę z grozy swego położenia. A jednak nie czuł trwogi, choć spotkał tu ostateczną groźbę ze snów i legend swego ludu. Krew tętniła w jego żyłach, lecz nie strach, a podniecenie było tego powodem.

- Wiedzą, że ty masz Kamień, królu - powiedziała Atla, a choć wiedział, że się boi, i czuł jej fizyczny wysiłek, by opanować drżenie członków, nie dosłyszał w jej głosie śladu lęku. - Jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Od dawna znają twój ród - och, pamiętają dni, kiedy ich przodkowie byli ludźmi! Nie mogę cię ocalić. Oboje będziemy umierać tak, jak od tysiąca lat nie umierał żaden człowiek. Jeśli chcesz, przemów do nich. Zrozumieją twoją mowę, choć ty ich

nie rozumiesz. Lecz nie nam to nie pomoże. Jesteś człowiekiem... i Piktem.

Bran roześmiał się i przed dzikim okrucieństwem tego śmiechu cofnął się napierający ognisty pierścień. Z przyprawiającym o dreszcz szczękiem stali wyciągnął miecz i oparł się plecami o coś, co - miał nadzieję,- było litą skałą. Wysunawszy ku lśniącej oczom miecz i trzymany w lewej ręce sztylet śmiał się, a jego śmiech był jak warkot łaknącego krwi wilka.

- Tak! - ryknął. - Jestem Piktem, synem tych wojowników, którzy jak wichur rozwiewający plewy gnali przed sobą waszych nikczemnych przodków! Którzy zmyli tę ziemię waszą krwią i wysoko wzniesli stosy waszych czaszek na ofiarę Księżycowej Pani! Wy, którzy z dawien dawna uciekacie przed moim ludem, czy ośmielicie się teraz warczeć na swego pana? Ruszajcie na mnie,' jeśli macie dość odwagi, a ja będę was dał jak żniwiarz, co kosi dojrzały jęczmień! Z waszych odciętych głów zbuduję wieżę, z waszych ciał wzniosę mur! Psy ciemności, glisty piekła, robaki ziemi, chodźcie do spróbujcie tej stali! Kiedy śmierć odnajdzie mnie w mroku, wasi żywi wyć będą nad mnóstwem tych, co zginęli, a wasz Czarny Kamień stracie na zawsze, gdyż tylko ja wiem, gdzie jest ukryty, a tortury wszystkich piekieł nie wydrą z moich ust tego sekretu!

Zapanowała pełna napięcia cisza. Bran spoglądał w mrugającą iskierkami ciemność - czujny jak wilk w pułapce, gotów ma atak. U jego boku kulila się kobieta, jej oczy lśniły. Potem z milczącego kręgu, czającego się poza zasięgiem mętnego światła, dobiegł odrażający pomruk. Bran zadrzał, choć przygotowany był na wszystko. Bogowie, czy ten pomruk był mową stworzeń, które kiedyś nazywano ludźmi?

Atla wyprostowała się i słuchała uważnie. Z jej ust wydobywało się takie samo ohydne, miękkie syczenie i Bran - choć poznał ponury sekret tej istoty - pomyślał, że już nigdy nie będzie mógł jej dotknąć bez obrzydzenia.

Spojrzała na niego; dziwny uśmiech wykrzywił jej szkarłatne wargi, słabo widoczne w widmowym świetle.

- Lękają się ciebie, królu! Na mroczne tajemnice R'lyeh, kim jesteś, że samo Piekło drży przed tobą? Nie twój miecz, lecz twój duch, twardy jak stal, wprowadził w niezwykłą trwogę te dziwne umysły. Odkupią od ciebie Czarny Kamień za każdą cenę.

- Dobrze - Bran schował broń. - Obiecują nie prześladować cię za to, że udzieliłaś mi pomocy. I jeszcze - głos jego zahuczał jak ryk polującego tygrysa - oddadzą w moje ręce Tytusa Sulle, gubernatora Ebbzacum, obecnego dowódcę Wieży Trajana. Potrafią to uczynić, choć nie wiem, w jaki sposób. Wiem jednak, że za dawnych dni, gdy lud mój prowadził wojnę z Dziećmi Nocy, niemowlęta znikły ze strzeżonych chat i nikt nie widział nadchodzących ni odchodzących porywaczy. Czy oni zrozumieli?

Znowu podniosły się ohydne głosy, a Bran, który nie lękał się ich gniewu, zadrzał słysząc te dźwięki.

- Oni rozumieją - powiedziała Atla. - Jutrzejszej nocy, gdy ziemię spowije ciemność

poprzedzająca świt, przynieś Czarny Kamień do Kręgu Dagona. Połóż go na ołtarzu. Tam dostarczą ci Tytusa Sullę. Możesz tai zaufać. Od wieków nie miesza się w sprawy ludzi, ale dotrzymają słowa.

Bran skinął głową, odwrócił się i z Atla tuż za sobą wspinał się na schody. Na szczycie obejrzał się i popatrzył na połyskujące morze wpatrzonych w niego skośnych oczu. Posiadacze tych oczu zważali jednak, by nie znaleźć się w niewyraźnym kręgu światła pochodni, tak że nie widział ich ciał. Dobięła go tylko ich cicha, sycząca mowa i zadrzał, gdy przed oczyma wyobraźni ujrzał nie tłum dwunogich istot, lecz miriady wijących się i kołyszących węży, patrzących na niego błyszczącymi źrenicami bez powiek.

Wśliznął się do górnej jaskini, a Atla wsunęła na miejsce zamykający wejście kamień. Pasował do otworu z przedziwną dokładnością - Bran nie mógł dostrzec najmniejszej rysy w litej na -pozór podłodze jaskini. Atla zrobiła ruch, jakby chciała zgasić pochodnię, lecz król powstrzymał ją.

- Zostaw, póki nie wyjdziemy z groty - mruknął. - W ciemności można nadepnąć na żmiję.

Pelen słodczy nienawistny śmiech Atli wzniósł się szaleńczą nutą wśród mroku.

V

Niewiele czasu pozostało do zachodu słońca, gdy Bran po raz drugi zjawił się nad brzegiem Stawu Dagona. Rzucił na ziemię płaszcz, odpiął pas z mieczem, zdjął krótkie, skórzane spodnie. Potem ściskając w zębach nagi sztylet wszedł do wody bez plusku, jak foka. Dopłynął na środek małego jeziora i zanurkował.

Staw był głębszy, niż się spodziewał. Zdawało mu się, że nigdy nie dosięgnie dna, a gdy tego dokonał, nie mógł namacać przedmiotu poszukiwań. Ostrzeżony uderzeniami krwi w uszach popłynął ku powierzchni.

Napełniwszy płuca odświeżającym powietrzem zanurkował znowu i znowu jego poszukiwania były bezowocne. Trzeci raz przeszukiwał głębie i tym razem jego wyciągnięte ręce trafiły na znajomy przedmiot zaryty w przydennym mule. Schwyciwszy go mocno popłynął do góry.

Kamień nie był zbyt duży, ale ciężki. Bran płynął pomału, gdy wyczuł nagle niezwykle ruch wody wokół siebie, nie będący wynikiem jego własnych poruszeń. Zanurzony twarz pod wodą starał się przebić wzrokiem błękitne głębie i wydało mu się, że dostrzega unoszący się tani gigantyczny cień.

Popłynął szybciej, nie przestraszony, lecz ostrożny. Stopy sięgnęły dna pływaczki i pobrał do brzegu. Obejrzał się i zobaczył, jak woda zawirowała i opadła. Zaklął, potrząsając głową.

Nie brał pod uwagę starej legendy, co czyniła Staw Dagona legowiskiem bezimiennego wodnego monstrum, czuł jednak, że bardzo niewiele dzieliło go od zguby. Zatarte przez czas mity starożytnego ładu na jego oczach nabierały kształtu i życia. Bran nawet nie starał się domyślać, jaki to pierwotny stwór czai się pod powierzchnią zdradzieckiego stawu. Uznał jednak, że ludzie z moczarów mieli wystarczające powody, by unikać tego miejsca.

Bran ubrał się, dosiadł czarnego ogiera i ruszył, nie do swej chaty, lecz na zachód, w kierunku chowającego się za horyzontem słońca, w stronę Wieży Trajana i Kręgu Dagona. W rękach trzymał owinięty płaszczem Czarny Kamień. Gdy mila za milą przemierzał dzielącą go od celu odległość, czerwone gwiazdy pojawiły się na niebie. Minęła północ bezksiężycowej nocy, a Bran wciąż jechał. Serce biło mu mocniej na myśl o spotkaniu z Tytusem Sullą. Atla cieszyła się na myśl o Rzymianinie wijącym się z bólu podczas tortur, lecz Pikt daleki był od takich myśli. Gubernator będzie miał szansę walczyć z bronią w rękę - uzbrojony w miecz Brana zetrze się z piktyjskim sztyletem króla. Będzie żył lub zginie, zależnie od swego męstwa. I choć Sulla znany był w prowincjach jako świetny szermierz, Bran nie miał żadnych wątpliwości co do wyniku walki.

Krąg Dagona leżał w pewnej odległości od Wieży - posępny pierścień stojących sztorcem głazów, a pośrodku ołtarz z grubo ciosanego kamienia. Rzymianie niechętnie patrzyli na te menhiry, przekonani, że wzniesli je druidzi. Celtowie z kolei sądzili, że to lud Piktów poustawiał głazy. Lecz Bran dobrze wiedział, czyje ręce wznosiły w zapomnianych wiekach te posępne monolity, choć mógł tylko domyślać się, dla jakich celów.

Nie ruszył prosto do Kręgu. Powodowała nim ciekawość, w jaki sposób jego nocni sojusznicy wywiążą się ze swego słowa. Był pewien, że zdolni są porwać Sullę ze środka jego oddziałów, i był przekonany, że wie, w jaki sposób to uczynią. Męczyły go jakieś złe przeczucia, jak gdyby wykorzystywał moce nieznanymi wymiarów i wyzwolił siły, nad którymi nie zdoła zapanować. Zimny dreszcz przebiegał go za każdym razem, gdy wspominał gadzi pomruk i skośne oczy, widziane zeszłej nocy. Już wtedy byli wystarczająco plugawi, kiedy jego lud zagnał ich do grot pod wzgórzami, całe wieki temu. Co z nich uczyniły stulecia regresji? Czy zachowali jakiegokolwiek atrybuty człowieczeństwa?

Jakiś instynkt kazał mu ruszyć w kierunku wieży. Wiedział, że jest blisko, mimo gęstych ciemności powinien rozróżnić jej sylwetkę, rysującą się na horyzoncie, nawet teraz powinna być widoczna. Ogarnęło go jakieś niejasne, dreszcz budzące przeczucie. Spiał rumaka do cwału.

Nagle cofnął się w siodle jak od ciosu, tak szokujący był widok, który napotkały jego oczy. Niezdobyta Wieża Trajana nie istniała. Zdumione spojrzenie Brana spoczęło na ogromnym stosie gruzów - rozlupanych kamieni i pokruszonego granitu. Spomiędzy nich sterczały poszczerbione końce wyłamanych wsporników. W jednym rogu, wśród chmury rozsyanego tynku wyrastała wieżyczka, pochylona w bok, jakby coś wycięło połowę jej fundamentów.

Otępiały ze zdziwienia Bran zsiadł z konia i podszedł bliżej. W niektórych miejscach fosę

całkowicie wypełniał gruz i wylamane kawały muru. Przekroczył ją i wszedł pomiędzy ruiny. Tam, gdzie jeszcze kilka godzin temu bruki huczały równym krokiem ciężkich stóp, gdzie mury odbijały echem szczęk stali i głosy trąb, panowała przeraźliwa oaza.

U stóp Brana Jakaś powykrzywiana postać poruszyła się i jęknęła. Król pochylił się nad legionistą, leżącym w szeroko rozlanej, czerwonej kałuży własnej krwi. Jeden rzut oka wyjaśnił Piktowi, że człowiek ten, straszliwie poraniony, umiera.

Bran uniósł pokrwawioną głowę rannego i przytknął swą manierkę do opuchniętych warg. Rzymianin instynktownie wciągnął przez połamane zęby łyk płynu. W zamglonym świetle gwiazd widać było, że jego zaszklone oczy poruszyły się.

- Mury pękły - wyszeptał. - Runęły, jak runie niebo w dniu zagłady. Jowiszu, z nieba padał deszcz granitu i marmurowy grad!

- Nie czułem żadnych drgań gruntu - zachmurzył się Bran.

- To nie było trzęsienie ziemi - szepnął Rzymianin. - To się zaczęło jeszcze przed wschodem słońca, słabe, niewyraźne drapanie i skrobanie głęboko pod ziemią. My, wartownicy, słyszeliśmy... jakby szczury drążące tunel albo robaki kopiące ziemię. Tytus śmiał się, ale słyszeliśmy ten chrobot przez cały dzień. A o północy wieża zakolysała się i osiadła, jakby ktoś wykopał fundamenty...

Dreszcz przeszedł Brana Mak Morna. Potwory spod ziemi! Tysiące ich, jak krety ryjących głęboko pod twierdzą, wykopujących fundamenty... bogowie, ta ziemia z tymi wszystkimi tunelami i jaskiniami musi wyglądać jak plaster miodu... te stworzenia mniej miały cech ludzkich, niż sądził... jakież upiorne postacie z mroku przywołał na pomoc?

- Co z Tytusem Sullą? - spytał, znowu przysuwając manierkę do ust legionisty. W tej chwili konający Rzymianin był dla niego niemal bratem.

- Kiedy wieża zadrżała, usłyszeliśmy straszny krzyk z komnaty gubernatora - wymamrotał żołnierz. - Pobiegliśmy tam... kiedy wywalaliśmy drzwi, słyszeliśmy jego wrzaski... zdawały się uchodzić... do wnętrza ziemi! Wbiegliśmy... komnata była pusta. Jego zakrwawiony miecz leżał tam... w kamiennej podłodze ziała czarna dziura. Wtedy... wieża... zatoczyła się... dach... runął... czołgałem się... przez... grad... pękające... ściany...

Żołnierz zatrzęsł się konwulsyjnie.

- Połóż mnie, przyjacielu - szepnął. - Umieram.

Przestał oddychać, nim Bran zdążył odpowiedzieć. Pikt wstał i machinalnie wytarł ręce. Odszedł, a po chwili galopował już przez ciemne moczary. Owinięty płaszczem Czarny Kamień ciążył mu jak ohydny koszmar na piersi śpiącego.

Zbliżywszy się do Kręgu dostrzegł padające z wnętrza niesamowite lśnienie. Głazy rysowały się wśród nocy jak żebra szkieletu, w którego piersi płonie magiczny ogień. Ogier rżał i stawał dęba, kiedy przywiązywał go do jednego z menhirów. Z Kamieniem w rękach wszedł do

wnętrza Kręgu i zobaczył stojącą przy ołtarzu Atlę. Jej giętkie ciało kołysało się wężowym ruchem. Cały ołtarz promieniował upiornym blaskiem i Bran domyślił się, że ktoś - zapewne Atla - natarł go fosforem z jakiegoś wilgotnego bagna czy trzęsawiska.

Zbliżył się, odwinął Kamień i cisnął przeklęty fetysz na ołtarz.

- Ja dopełniłem swojej części umowy - warknął.

- A oni swojej - odparła. - Spójrz! Nadchodzą!

Obejrzał . się, instynktownie opierając dłoń na rękojeści miecza. Pozostawiony poza Kręgiem koń rżał dziko i szarpał cugle. Nocny wiatr szumiał wśród traw niosąc odrażający, cichy syk. Spomiędzy menhirów płynęła mroczna fala cienia, falując chaotycznie. Krąg wypełniły lśniąca oczy, zawieszona poza zasięgiem iluzorycznego blasku, padającego z fosforyzującego ołtarza. Gdzieś z ciemności dobiegał dźwięk ludzkiego głosu, bełkoczącego coś i mamroczącego bez związku. Bran zeszytywniał, cień grozy przesłonił jego umysł.

Wyteżył wzrok, starając się rozpoznać kształty postaci, tłoczących się wokół. Dostrzegł jednaki tylko cień, który wzdymał się, falował, wil, jakby był niemal płynnej konsystencji.

- Niech wypełnią swoją część układu! - wykrzyknął poirytowany.

- A więc patrz, królu! - w głosie Atli usłyszał drwinę.

Zawirowały, zawrzały falujące cienie i z ciemności wypełził na czworakach, jak zwierzę, ludzki kształt. Upadł do stóp Brana, czołgał się, wil i wykrzywił, unosił głowę i wyl jak zdychający pies. Wstrząśnięty Bran dostrzegł w upiornym blasku puste, szkliste oczy, twarz, z której spłynęła krew, mamroczące coś, pokryte pianą usta - bogowie, czyżby to był Tytus Sulla, dumny władca żyda i śmierci dumnego miasta Ebbراعum?

Bran obnażył miecz.

- Sądziłem, że zemsta pokieruje tym ciosem - powiedział cicho. - Lecz wymierzam go z litości. *Vale Caesar!*

Błysnęła stal i głowa Sulli potoczyła się do stóp ołtarza. Tam znieruchomiała, niewidzącymi oczyma wpatrując się w czarne niebo.

- Oni nie zrobili mu krzywdy - nienawistny śmiech Atli przerwał ciszę. - To rzeczy, które zobaczył i które poznał, załamały jego umysł. Jak cała jego rasa, nic nie wiedział o tajemnicach tego prastarego ładu. Tej nocy przeciągnięto go przez najgłębsze otchłanie piekła, gdzie zbladłbyś nawet ty.

- Szczęśliwi Rzymianie, że nie znają sekretów tego przeklętego kraju - zawołał wzburzony Bran. - Ani jego jezior zamieszkanym przez potwory, ani plugawych czarownic, ani ukrytych jaskiń i podziemnych krain, gdzie w mroku mnożą się piekielne kształty!

- Czy oni są bardziej godni pogardy, czy też śmiertelni, szukający ich pomocy?

- spytała Atla z przeraźliwą uciechą. - Oddaj im ich Czarny Kamień!

Straszliwa odraza wypełniła furia myśli Brana.

- Tak, zabierzcie swój przeklęty Kamień! - wykrzyknął, podniósł go z ołtarza i cisnął między cienie z taką mocą, że jakieś kości trzasnęły od uderzenia. Wzniósł się pospieszny belkot ohydnych głosów i cienie zawirowały w zamieszaniu. Częstka tej mrocznej masy oddzieliła się na chwilę i Bran aż krzyknął z obrzydzenia, choć pochwycił tylko przelotny obraz szerokiej, dziwnie płaskiej głowy, wijących się, obwisłych warg i okropnie zniekształconego, karłowatego ciała, które wydało mu się cętkowane, a nade wszystko owych nie mrugających, gadzich oczu. Na boga! Mity przygotowały go na spotkanie grozy w ludzkiej formie, grozy, którą budzi zwierzęce oblicze i deformacja, lecz to było grozą z nocnego koszmaru.

- Wracajcie do piekła i zabierzcie swego bożka! - krzyknął, wznosząc ku niebu zaciśnięte pięści, a gęsty cień cofał się, odpływał od niego jak nieczyste wody jakiegoś ciemnego strumienia. - Wasi przodkowie byli ludźmi, choć dziwaczni i spotworniałymi, ale wy – na wszystkich bogów! - wy w istocie staliście się tymi, o których mój lud mówi z taką pogardą! Potwory spod ziemi, wracajcie do waszych dziur i tuneli! Zohydzacie powietrze, na czystej ziemi zostawiacie ślady wężowego śluzu, bo wężami jesteście! Miał rację Gonar - istnieją narzędzia zbyt plugawe, by ich użyć, nawet przeciwko Rzymowi.

Wybiegł z kręgu tak, jak człowiek ucieka od dotknięcia węża. Odwiązał wierzchowca. Tuż przy sobie słyszał straszny śmiech Atli, z której, jak płaszcz nocą, opadły wszelkie atrybuty człowieczeństwa.

- Królu Piktów! - zawołała. - Królu głupców! Naprawdę lękasz się takiej drobnostki? Zostań, a pokażę ci prawdziwe owoce otchłani! Ha! ha! ha! Uciekaj, głupcze, uciekaj! Lecz jesteś naznaczony zgnilizną - przywołałeś ich i będą o tym pamiętać! A w swoim czasie przyjdą do ciebie znowu!

Zaklął bez słów i otwartą dłonią uderzył ją w twarz. Zatoczyła się, krew popłynęła z jej warg, lecz upiorny śmiech wniósł się jeszcze wyżej.

Bran wskoczył na siodło. Marzył o czystym wrzosie i zimnych, błękitnych wzgórzach północy, gdzie mógł użyć swego miecza w otwartej walce i skąpać swą chorą duszę w czerwonym wirze bitwy, zapomnieć o grozie czającej się pod moczarami zachodu. Rzucił cugle i pognął przez noc jak ścigany upiór, aż piekielny śmiech czarownicy zamarł w ciemnościach poza nim.

SPIS TREŚCI

O AUTORZE 5

DOLINA GROZY 6

ZEMSTA SPOD ZIEMI 24